

# moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 kwiecień 2018, nr 23





# Gmina w obiektywie

Niebieski, żółty i zielony.  
Te trzy kolory wystarczą, by wiedzieć, że to już wiosna.  
Lesznowola w kwietniu.



25



16



22



46



37

## Spis treści

### 6 Od Redakcji

### 7 Fajnie mieć marzenia

...z planami jest tak, że – jak to mówią – „Bóg się roześmieje i już po planach”

### 13 Las Dobrej Woli

...cztery polany i piętnaście tysięcy buków do posadzenia

### 16 Reszta jest muzyką

...o szkolnym chórze z gminy Lesznowola mówi się na muzycznych salonach

### 22 Samba, cha-cha, paso doble

...do turniejowych potyczek stanęli najbardziej utalentowani młodzi tancerze z całej Polski

### 25 O czym tu mówić

...bierz, Mesjaszek, robaka i jedz

### 31 Moja Nowa Iwiczna

...każdy tu był rolnikiem, bo ziemia była wysokiej klasy

### 37 Czysta radość

...zaczęłam malować i poczułam wielką radość z tego, co robię

### 40 Do granicy horyzontu

...wolę budować modele samolotów niż latać

### 46 Bezpiecznej drogi

...motocykliści na swoich wypieszczonych maszynach podjechali pod kościół w Starej Iwicznej

### 48 Na każdy sezon

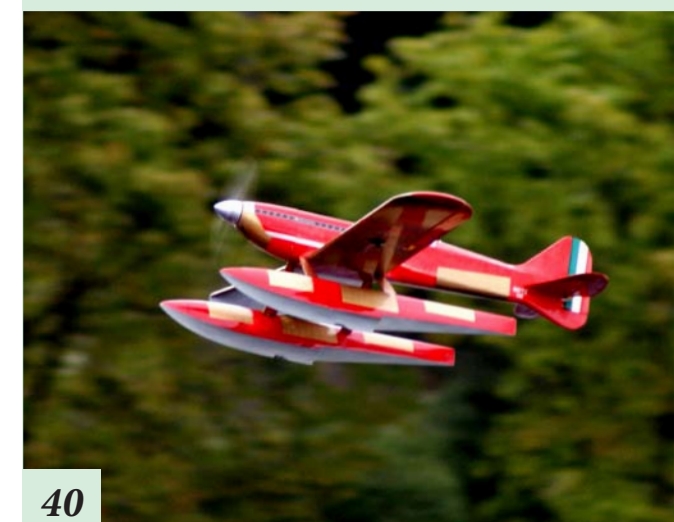
...pieczarki i boczniki dają wiele możliwości kulinarnych



7



31



40



## Od Redakcji

Kto by pomyślał, że do hali sportowej w Łazach będą co roku przyjeżdżać z całej Polski najzdolniejsi tancerze, by wziąć udział w Ogólnopolskim Turnieju Tańca Towarzyskiego o Puchar Wójta Gminy Lesznowola?

Kto by pomyślał, że szkolny chór Animato z Zespołu Szkół im. Jana Pawła II w Łazach pod dyrekcją Olivii Kaczyńskiej będzie występował w Filharmonii Narodowej? Że entuzjaści motocykli będą każdego roku od dziesięciu lat w kwietniową niedzielę przyjeżdżali na mszę do kościoła w Starej Iwicznej? Że dziesiątki, a może setki młodych ludzi będzie brało udział we wspólnym sadzeniu lasu?

To wszystko dzieje się w naszej gminie i o tym między innymi piszemy w tym numerze „mojej Lesznowoli”.

Poza tym jak zwykle przedstawiamy mieszkańców, których naszym zdaniem warto poznać bliżej.

Rozmawialiśmy z leśnikiem, który dba o nasze lasy i mówi, że gdy będzie na emeryturze, może zobaczy las australijski, może afrykański, a może ten na Bali. Mówi też: „To nie są moje plany tylko moje marzenia, bo z planami jest tak, że – jak to mówią – „Bóg się roześmieje i już po planach”.

Odwiedziliśmy małżeństwo, które ma za sobą diamentowe gody, a osiemdziesięcioośmioletni pan małżonek wyznaje: „Przeżyliśmy z żoną szczęśliwie sześćdziesiąt lat, pobudowaliśmy dom, wychowaliśmy dzieci. To przecież nic nadzwyczajnego”.

Mieszkaniec Nowej Iwicznej opowiedział nam, jak to dawniej było, a inżynier ze Stefanowa o pasji projektowania i budowania modeli lotniczych.

Prezentujemy też obrazy pani socjolog, która żyła w przekonaniu, że malowanie farbami olejnymi to zajęcie tylko dla wybranych, a dziś ma swoją wystawę w filii GOK w Mysiadle.

W naszej kuchni propozycje na każdy sezon.

Miłej lektury.

Redaktor naczelny  
*Andrzej Kwiatkowski*

## moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski

OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk

ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska

DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2

KONTAKT [mojalesznowola@gmail.com](mailto:mojalesznowola@gmail.com), tel. 600 056 069



# Fajnie mieć marzenia

– Gdy będę na emeryturze, może zobaczę las australijski, może afrykański, a może ten na Bali. To nie są moje plany, tylko moje marzenia. Bo z planami jest tak, że – jak to mówią – „Bóg się roześmieje i już po planach”. Jak się część marzeń spełni, będzie dobrze.



A jest szansa, bo w świecie czekają na mnie krewni. W Afryce Południowej brat cioteczny Zdzicho, w Australii Carmen, moja siostra cioteczna, w Kanadzie krewni ze strony ojca, w Szwajcarii mieszka Krystyna. Mam na świecie gdzie głowę przytulić. Gorzej, gdyby nie zapraszali. Człowiek czułby się odrzucony, ale zapraszają – mówi Jerzy Kaczmarczyk, leśniczy, który przed naszym spotkaniem sadził z młodzieżą nowy las w Magdalence. Historia rodzinna Jerzego Kaczmarczyka to materiał na obszerną książkę. Nie da się jej opowiedzieć na kilku stronach, z trudem można jedynie zasygnalizować niektóre wątki. Pan Jerzy jest człowiekiem lasu. Zna nasze lasy jak własne podwórko, po którym przechadzają się kozy, biega maleńka sarna precudnej urody, jest miejsce dla psów i kotów, które zamieszkują leśniczówkę i chodzą krok w krok za swoim opiekunem.

Spróbujemy o tym wszystkim opowiedzieć, bo choć nie mamy wątpliwości, że Jerzy Kaczmarczyk jest człowiekiem znanym, to jednak znanym głównie jako leśnik.



#### Z rodzinnego albumu

– To jest zdjęcie mojej rodziny zrobione przed wojną w Zamościu. Są na nim dziadek, babcia i moja mama w zaawansowanej ciąży. Tak zawsze o sobie mówiła, gdy patrzyła na tę fotografię – opowiada pan Jerzy. – A to jest mój dziadek przed wojną. Potem była wywózka za Archangielsk na Syberię, marsz z Armią Andersa i bitwa pod Monte Cassino.

W 1947 roku przysłał nam kartkę spod Monte Cassino, kiedy pojechał na groby kolegów, którzy tam zostali.

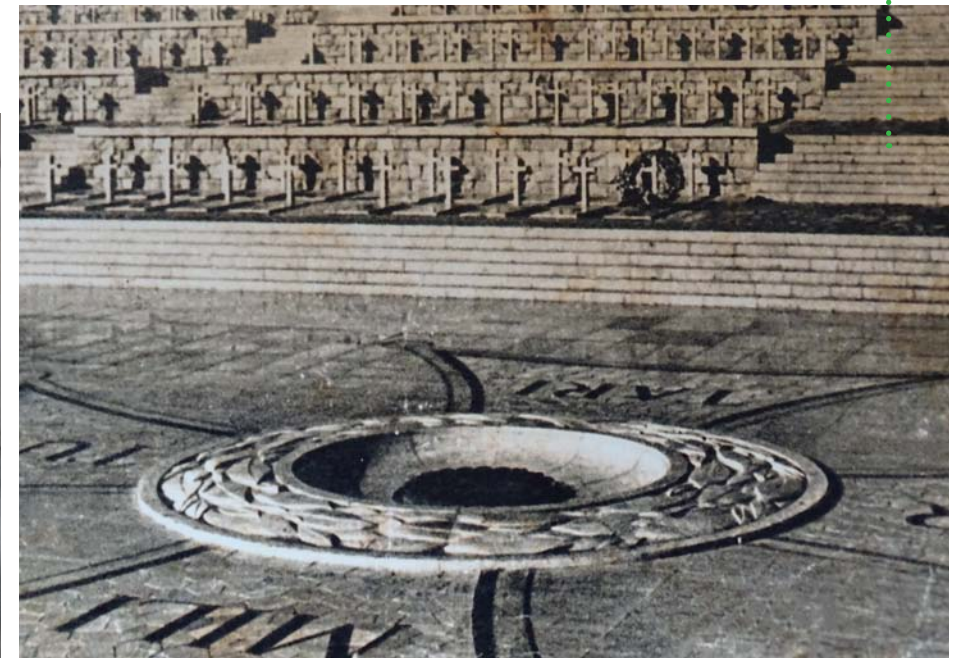


### ...historia rodzinna Jerzego Kaczmarczyka to materiał na obszerną książkę

A to jest dziadek Bronisław Bednarski. Starszy sierżant, który w Legionach Polskich służył od 1914 roku do czasu, gdy trafił do obozu jeńców w Szczypiornie. Służąc w legionach brał udział we wszystkich bitwach, jakie stoczyła I Brygada VI Baon Legionów Polskich. Obrońca Lwowa, uczestnik Bitwy Warszawskiej w 1920 roku, odznaczony krzyżem I Brygady „Za wierną służbę” i brązowym medalem austriackim. Od marszałka Józefa Piłsudskiego dostał majątek, potem trafił z rodziną na Syberię, z Armią Andersa – jak wspominałem – walczył pod Monte Cassino, potem z armią przeszedł przez Palestynę, wziął udział w kampanii włoskiej i został pochowany w Cambridge.



fot. z archiwum prywatnego Jerzego Kaczmarczyka



Moja matka z maleńkim bratem, który urodził się w 1940 roku w Archangielsku, z Syberii do Polski wracała sama. Nie odważyła się wziąć brata na tułaczkę, bo wiedziała, że nie przeżyje. Wróciła na ziemię odzyskaną w 1946 roku. Taka jest historia mojej rodziny.

Urodziłem się w Jaworze koło Wrocławia. Po tej Syberii, gdzie mama, aby utrzymać Witka przy życiu, odżywiła się gorczycą, zaczęła puchnąć. Nie służył jej klimat Wrocławia. Lekarze powiedzieli, że powinna wyjechać na Mazowsze, najlepiej w okolice Otwocka. Skończyło się na Legionowie. To miało być chwilowe, góra dwa, trzy lata, ale dostała pracę w gminie

w największej w Europie wiosce pod szkłem, czyli w Jabłonie. Miała przedwojenne wykształcenie, a przedwojenna matura była lepsza niż powojenne studia.

Od przedszkola wiedziałem, że będę leśniczym. Skończyłem w Białowieży technikum leśne i jestem leśniczym. To mi się udało. Jedna rzecz, która mi w życiu wyszła. W przedszkolu zawsze malowałem las. Mówiłem, że będę chodził po tym lesie, mieszkał w leśniczówce i będę miał pięć psów i kotów. Matka mnie z domu z psiakami wyganiała, więc z tymi szczeniakami siedziałem w komórce, a teraz wszystko, co chcę, trzymam w domu. Mogę i krokodyła trzymać, bo nikt mi nie zabroni.



Na tym zdjęciu jest mój dziadek, moja babcia Stanisława i Tadeusz, który zginął na Syberii, a którego dopiero w tym roku uznano za nieżyjącego. Tak polskie sądy go uznawały: „A może żyje i się nie zgłasza. Może nie chce przyjechać”. Tragiczna komedia.

To jest Fredek pochowany w Cambridge i moja matka, gdy miała dwanaście lat. Jest też siostra Albia, która zmarła w RPA, ale jej prochy przewieziono do Polski i pochowano na cmentarzu w Jabłonie.



Podzieliło tak, że nie widziałem żadnego swojego dziadka. Babkę widziałem trzy miesiące, bo była chora na raka i przyleciała z Nairobi. Pamiętam, jak ona opowiadała o Afryce. Nie musiałem czytać *W pustyni i w puszczy*, bo ona wyjmowała zdjęcia i mówiła, jak tam jest. Że małpę na łańcuchu się trzyma, a ona krzyczy głośniejszy niż pies, gdy widzi, że zbliża się lew.

Jeszcze mam parę zdjęć rodzinnych z Wrocławia. To jestem ja, moja mama, mój brat urodzony w Archan-gielsku, moja siostra Basia i mój ojciec, który nienawidził Mazowsza, dlatego że tu jest kurz. Wrócił do Wrocławia. Na nagrobku mu napisałem „Zauroczony Wrocławem”. Wyzwolił Wrocław i zakochał się w tym mieście.

To moje zdjęcie do paszportu z roku 1955. Miałem jechać z matką na operację serca, bo urodziłem się z wadą. Ale do Anglii nas nie puścili, bo się bali, że matka spotka się ze swoim ojcem i tam zostanie.

A to są chrzciny w Cambridge i zdjęcie dziadka na sześć godzin przed śmiercią. Na chrzcinach zebrał wszystkie dziewczyny i chłopaków od Andersa, potem wrócił do domu i serce nie wytrzymało.

Na tym zdjęciu zrobionym 18 kwietnia 1953 roku jest mój ojciec. Ja urodziłem się 8 marca. Ponieważ mama po porodzie wróciła do pracy, ojciec – żeby mnie wychowywać – rzucił robotę i zajął się w domu malowaniem obrusów. Zamówił stół i dla Cepelii malował obrusy. Wszystko potrafił zrobić i ugotować też.

Jestem wdowcem. Z pierwszego małżeństwa miałem syna, przystojnego dwumetrowego chłopaka, który mając trzydzieści cztery lata umarł na zawał serca. W Starcie Lublin grał w kosza, badania przechodził i wszystko było dobrze, ale wyjechał do Stanów. Pokochał Nowy Jork, a w Stanach stres i praca. Tak się zajął robotą, że umarł. Takie losy.

U nas wszyscy umierali na serce. Mój ojciec mając pięćdziesiąt parę lat, dziadek pięćdziesiąt pięć.



Ja żyję najdłużej, bo tylko ja wcześniej miałem założone bypassy. Mamy genetyczną wadę.

Moja obecna żona Anna z domu Waszczyk pracuje przy filmach. Nie jest aktorką, ale w kilku filmach u znanych reżyserów zagrała główne role. Po prostu umie zagrać, nie musi mieć szkoły aktorskiej. Zagrała z Markiem Kondratem i Zbigniewem Zamachowskim w filmie Kazimierza Kutza *Zawrócony*. W 1994 roku film został nagrodzony Złotymi Lwami na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, zebrał także laury na festiwalach w Berlinie, Moskwie i Utrechcie.

### Jestem leśnikiem

– Jak powiedziałem, skończyłem technikum leśne w Białowieży. Po technikum trafiłem do nadleśnictwa Jabłonna, bo mieszkaliśmy w Legionowie i tam odbyłem staż. Wtedy obowiązywały przydziały pracy i dostałem robotę, zrobienie Zalewu Zemborzyckiego w Lublinie. Jest taki piękny zalew.

Gdy wycinany był las w Dąbrowie, matka się ucieszyła, że idę w stronę Tomaszowa Lubelskiego. „Idziesz w nasze strony”, mówiła, ale mnie ciągnęło na Mazury. Trafiłem do przepięknego nadleśnictwa Krukłanki, nad jeziorem Rydzówka. Miałem leśniczówkę i dziewięć pokoi. Spinningiem można był rzucać prosto do jeziora, ale do najbliższego sklepu było dziewięć kilometrów. Jak zasypało śniegiem, to zasypało na amen.

Moja matka była kiedyś ze mną w leśniczówce na Mazurach i mówię do niej: „Mamo, w spiżarni nie ma nic do jedzenia. Po prostu nie ma co jeść”. A ona na to: „Jurek, jak Witek był mały, miałam na Syberii trzy-miesięczny chleb zawinięty w dwie ściernki i schowany w dwie lipowe skrzynki. Jak ludzie wchodzili do nas przy pięćdziesięciu stopniach mrozu, to do mnie mówili: Henia, ty jeszcze masz chleb? Myśmy już dawno zjedli. Ten kwas chlebowy było czuć. A ty narzekasz, że nie mamy co jeść?”

A kiedyś mówi tak: „Jurek, w tej leśniczówce jest wszystko, ale brakuje biblioteki. – Mamo przywiozę ci książki z Legionowa. – Co będziesz przywozić, tu powinna być biblioteka”. Miałem utworzyć bibliotekę? Kupować książki? Jeździłem do Węgorzewa i wypożyczałem jej po pięć, siedem i dowiedziałem się, że we wsi w Karłowie likwidują trzyklasową szkołę podstawową. Pojechałem do szkoły. Wychodzi nauczycielka, kupuję od niej meble, lustro, podwójne łóżko, bo ona przenosi się do miasta, a w klasie stoi szkolna biblioteka. Ze 250 książek obłożonych w szary papier. Na każdej numerki: 18 – *Pan Tadeusz*, 17 – *Za chlebem...* Wziąłem takiego Niemca, który miał konia, załadowaliśmy cały ten majdan na furmankę i jedziemy do leśniczówki. Matka zrzątała się w drugim pokoju, a my ustawiliśmy półki z książkami i mówię: „A teraz sobie porządkuj. Masz bibliotekę?”

I od tej pory w Puszczy Boreckiej, w Leśnictwie Rydzówka była biblioteka. Raz przyszedł do nas taki puszczański pracownik, który siedział gdzieś trzydzieści kilometrów w głębi Puszczy Boreckiej i nigdy nie widział światła. Jak zobaczył żarówkę, to siedział ze dwa dni i na nią patrzył. A jak już się napatrzył, to powiedział: „Panie leśniczy, pojedziemy do miasta. Kupi mi pan pralkę Franię i żelazko”. Pamiętam jak dziś. Był to rok 1978 i zima stulecia.

Mieszkałem w tej leśniczówce kilka lat, ale gdy dzieciaki podrosły,

trzeba było zrobić coś, żeby poszły do jakiejś szkoły. Przenieść się gdzieś bliżej miasta. Chyba los chciał, że-bym trafił blisko matki, blisko Ani-na, bym mógł przejść operację serca. Gdybym był gdzieś na Mazurach, to bym padł. A tutaj małe zasłabnięcie na łyżwach i trafiłem w ręce super lekarzy szpitala w Grójcu.

Od dwudziestu sześciu lat mam bypassy. W ogóle mam fart i do lekarzy, i do ludzi. A poza tym chciałem być blisko Warszawy, bo w Legionowie mieszka moja jedyna siostra. Przyjęli mnie do nadleśnictwa w Chojnowie. Gdy nadleśniczym w Chojnowie był śp. Marian Domagała, zostałem podleśniczym i zamieszkałem w leśniczówce w Sękocinie. Od 2006 roku jestem leśniczym.

### Nasze lasy

– Tu kiedyś na szlaku królewskim była puszcza. Obok miejsca, na którym stoi leśniczówka, stała karczma. Była zmiana poczty, a królowie i książęta jadąc szlakiem królewskim do Krakowa, zatrzymywali się na nocleg i zmianę koni w zakonie w Derdach, bo to było blisko traktu.

Lasy, które mamy wokół nas, to są lasy hrabiowskie, kiedyś własność hrabiny Falendzkiej. Jak hrabina wybierała się na obchód terenu, to najpierw jechali ludzie, którzy kazali miejscowym pogolić pyski, włożyć białe koszule i siedzieć na rowach. Wszystkie psy pozamykać w komórkach, koty po domach. Przed hrabiną biegło trzysta psów i psiarczyków i te psy dusiły wszystko, co było nieschowane.

Pani hrabina jechała powozem, witała się, machała do ludu. Pan hrabia wybierał jedną pokojówkę, a pani hrabina nowego stangreta. Silnego, dorodnego stangreta. Tak mi opowiadała – bo był świadkiem tego, jak było – stary tutejszy gajowy, Kazimierz Kącki.

Były też w okolicy lasy prywatne, ale potem się zrobiły państwowe. Instytut Badawczy Leśnictwa działał, robił doświadczenia i w naszych lasach są różne ciekawe okazy drzew.

Są sosny szczepione, są dęby korkowe, których nie ma w Polsce. Instytut próbował coś pokazać i naukowcy, ludzie światli, robili różne próby. Profesor Kazimierz Zajączkowski, który hodował topole, to się z nimi żegnał, gdy je ciąłem. On czterdzieści dwa lata koło nich chodził i po imieniu do nich mówił. Odmian było kilkadziesiąt i on je wszystkie znał. Trochę się przy tych ludziach nauczyłem.

Tu las jest zadbany. Gdybyśmy ruszyli w tę stronę, to pan by nie powiedział, że to jest dalej Magdalenka. Są porobione ścieżki edukacyjne, są wiaty wypoczynkowe i jest ścieżka, po której chodzą niewidomi ze znajomością języka Braille'a i nikt nie musi im tłumaczyć.

Przychodzą dzieci, czytają i słuchają. Nauczycielka nie musi im pomagać. Dziecko słucha, pomaca, czyta, jaka to roślina, słucha śpiewu ptaków i czuje, że jest samodzielne, nie potrzebuje pomocy.

Teren lasu jest zadbany, ale jest wiele roboty. Sprzątanie dwa razy w tygodniu. Sporo pieniędzy idzie, żeby tu było czysto, ale zawsze się zdarzy ktoś, kto śmieci, kto nie szanuje miejsca i czyjejś pracy. A poza tym w lesie jest zawsze robota.



A to jest moja mama w 1975 roku. A to Stasia, moja babka, w Afryce. Z Anglii na zesłanie wysłali ją do kolonii. To jest zdjęcie zrobione z jej boyami. Nie chcieli jej puścić do Polski. Ona ich wychowała, więc chodzili z nożami i pilnowali, żeby jej ludożercy nie zjedli. Dlatego rodzina została w Afryce Południowej.

Po Albisi są dzieci. Dzidcho mieszka w RPA, Carmen w Australii. Rodzinę mam na całym świecie. Swoją córkę, Gabrysię, zawiozłem do Jałty. Specjalnie do Liwadii, do tego pałacu, w którym Józef Stalin, Franklin Roosevelt oraz Winston Churchill podjęli decyzję o podziale Europy. Chciałem jej pokazać miejsce, gdzie trzech mądrych facetów podzieliło całkowicie moją rodzinę.



Wycinanie drzew, oranie na jesieni, sadzenie nowych. Pięć miesięcy bez kawałka starego lasu i młody las, który więcej produkuje tlenu niż ten stary. Mało kto wie, że tak jest. Las rośnie i zabiera dwutlenek węgla, i to jest pozytywne. Bo żeby drzewo urosło do potężnych rozmiarów, musi się najeść dwutlenku węgla i patrzeć na słońce. Nic więcej. I na tym to polega.

Jak trzymamy stary las, w którym gniją drzewa, tracimy pieniądze. Ludzie mówią: „Oj, takie piękne sosny pocięte”, ale nie widzą, że one w środku były dziurawe.

Teraz leśnik w lesie ma do dyspozycji niesamowitą elektronikę. My mamy taką transmisję, że ZUS takiej nie posiada. Ja, będąc w lesie, mogę wszystko zrobić. Mogę w gumowcach w lesie stać, a wysłać papiery, sprzedam drewno, przyjmę zapłatę kasą fiskalną, a jak ktoś chce płacić kartą, bardzo proszę. To już nie siekiera i nie ten dawny numerator z kółeczkiem i zajęcza łapka nasmarowana smarem, żeby było widać numer.

Wszystko się zmieniło. Dziki są, ale w odwrocie, bo ze względu na afrykański pomór mogą wyginąć. Jesteśmy na terenie zapowietrzonym. Przeszukujemy lasy systematycznie

i wiele sztuk już zostało znalezionych. Teraz też czekam na wyniki badań z Instytutu Weterynarii w Puławach, bo znaleźliśmy martwego dzika.

Ala pokażę ciekawostkę. Wilk na łące. Między Kampinosem a nami, czyli zbliża się, a on potrafi w ciągu doby 60 km zrobić. Wcale nie jest powiedziane, że może gdzieś się zapędzić. Są też u nas przechodzące łosie. Nie raz na nie trafiam. Hodowałem też malutkiego łosia, ale się nie udało. Łosie mają tak czułe serce, że umierają. Złapane w Warszawie czy gdzieś i przewiezione do Kampinosu na trzeci, czwarty dzień padają. Przeżywają przy łapaniu ogromny stres, bo to i straż miejska, i straż pożarna, policja i gapie. Zrobiono badania i wyszło, że łoś powinien dostawać takie leki, jak człowiek z zawałem. Powinien dostać taką dawkę, jak pacjent przyjęty na OIOM. Pomysł, taki olbrzym, a taki delikatny. Mamy sarny. Jedną pokażę na podwórku wychowaną od małego, będzie jadła kolację.

Chciałem kozę. Jak brałem do siebie, powiedzieli: „Proszę pana, to są bliźniaczki. – Jak bliźniaczki, to biorę obie”. Śpią przytulone do siebie. Teraz nie są podobne, bo jedna jest biała, ale ta druga też taka będzie. Ta z rogami to też dziewczyna.

Dziewczyny są fajne. Jak będę na emeryturze, to będę miał też kozła i mleko, i sery, i już będą pieniądze.

Jelonka przywoziłem w ręczniku. Myślałem, że to dziewczynka. Bardzo lubi lodową sałatę. Na razie ma takie małe guzy na głowie, ale w przyszłym roku będzie miał rogi. Trzymamy go półdziko. Mam też zdjęcie z sarenką, która przychodziła do mnie do domu na telewizję. Siadała na kanapie.

### Marzenia

– Mówiłem, że na emeryturze pojeżdżę po świecie, zobaczą las australijski, afrykański, a może ten na Bali. Fajnie jest pomarzyć, że można. Trzeba mieć tylko na bilet, czas i siłę. Ale jak zostawić takiego Skrzata. Ten psiak jest tutaj wychowany, ze mną pracuje.

Pojechaliśmy na Krym z Gabrysią, poza tym zobaczyliśmy piękną Gruzję, Ziemię Świętą i Hiszpanię, Włochy i Litwę, Grecję i Estonię.

Z Afryki przyjeżdżało do nas z piętnaście osób znajomych, których Zdzichu przywoził, żeby zobaczyli, jak Polska wygląda. Niewierzący na pasterkę do Zakopanego jadą, żeby przeżyć śnieg, te dzwonki i tę muzykę. I oni na mnie czekają. Może Zdzichu w tym roku przyleci. Teraz poleciał na dwa tygodnie na Florydę, jakby nie miał swojego oceanu. Tam w RPA jest strasznie niebezpiecznie, a tu największą frajdą dla nich jest przejechać się o 24.00 tramwajem, bo można. Ja mówię: „Zdzichu, ty swoje prochy, jakby coś ci się stało, przysyłaj, to cię do twojej mamy pochowam. Będiesz z wszystkimi Sybirakami i moim bratem leżał”.

Robię teraz w Jabłonnie taki grób sybiracki. W sobotę będę wycinał tam drzewo. Wszystkich ich ściągam z tego świata tutaj. Bo kto pojedzie do Afryki? W Cambridge dbają o nasze groby.

Czasem tak usiądę i myślę: „Kurczę, w pięciu rodzinach pewnie nie ma takiego zamieszania jak w naszej jednej. Na pięć życiorysów można to rozłożyć”. ■



W kwietniową sobotę o godzinie 9.00 obok kościoła w Magdalence zaczęli pojawiać się pierwsi ochotnicy, a potem z każdą minutą grupa zapaleńców rosla w siłę. Niektórzy przynieśli ze sobą własne szpadle, inni elektrościece, które później wymienili na roślinki do własnego ogródka. I jedni, i drudzy przyszli pełni chęci. Przed nimi czwarta akcja sadzenia lasu przez podopiecznych Stowarzyszenia na rzecz osób upośledzonych umysłowo i fizycznie Dobra Wola.





Cztery polany i piętnaście tysięcy drzewek do posadzenia. Takie wyzwanie wymaga pewnego wysiłku, ale jak się okazało chętnych, by je podjąć nie zabrakło. Najpierw był więc fachowy instruktor, jak posadzić drzewka, a potem łopaty poszły w ruch. Leśniczy Jerzy Kaczmarczyk okiem profesjonalisty doglądał czy odległości między bukami wynoszą 110 centymetrów i czy korzenie nie zostały podwiniete. Taka akcja, to jak przekonywał, pożytek nie tylko dla lasu, ale i satysfakcja, którą można chwalić się po latach. Wystarczy przecież przyjechać rowerem i zobaczyć, jak rosną sadzonki. A z czasem pokazać własnym dzieciom, że te drzewa posadził tatuś, gdy był w podstawówce, liceum czy w gimnazjum.

– To już czwarta akcja sadzenia lasów, choć zaczęło się od ich sprzątnięcia. Kiedy okazało się, że nie ma już co sprzątać, postanowiliśmy sadzić drzewa i to spotkało się z dobrym i ciepłym przyjęciem – opowiada Jacek Zalewski, prezes Stowarzyszenia Dobra Wola i pomysłodawca akcji.

– Każdy może przyjść, wsadzić swoje drzewo, podpisać i potem przychodzić i oglądać. To jest miłe. W akcję zaangażowanych jest bardzo dużo różnych środowisk. Są strażacy i pierwsza drużyna strażacka OSP

Dobrej Woli złożona z osób niepełnosprawnych. Jest też młodzież z młodzieżowych ośrodków wychowawczych i jest szkoła z Sekocina razem z panią dyrektorką, którą tak jak ja ukończyła biologię. Dwa lata temu sadziliśmy na terenie Sekocina, a w tym roku te granice powiatów czy granice gmin nie mają aż tak dużego znaczenia. Mają znaczenie granice nadleśnictwa i my jesteśmy pod opieką nadleśnictwa Chojnow. Mijaliśmy polanę, na której już trzy lata temu sadziliśmy buki i dziś widać, jak pięknie wyrosły. To też jest dla nas motywacja.

W tej akcji chodzi też o to, żeby po prostu pobyc w lesie razem. Tu są ludzie nawet z Siedlec, są niepełnosprawni z Białobrzegów Radomskich, ale jak się tak popatrzy, to już nie ma żadnych różnic, czy to są chłopcy z młodzieżowego ośrodka wychowawczego, czy to są niepełnosprawni, czy pełnosprawni. W tych imprezach o to chodzi, żeby te różnice zupełnie zatrzeć. Żeby ci ludzie coś wykonywali razem i byli szczęśliwi.

Jeszcze mają dojechać do nas studenci politechniki, którzy zajmują się projektowaniem Farmy Dobrej Woli. Ta farma to nasze ostatnie zadanie – inteligentne domy dla nieinteligentnych ludzi, czyli naszych niepełnosprawnych. Jesteśmy naj-



większym projektem społecznym Politechniki Warszawskiej.

Teraz sadzimy drzewa. Mamy wsparcie ze strony władz powiatu, Gminy Lesznów i wielu innych instytucji, których przedstawiciele razem z nami sadzą dziś buki. Opiekę medyczną zapewnia nam Salus.

Z biegiem czasu równe rzędy bukowych sadzonek powoli wypełniały leśne polany. Choć kopanie dołków w nierównym terenie wcale nie było łatwe, zmęczeni nie widać było po ochotnikach. Na koniec wszyscy spotkali się wokół ogniska na pieczniku kiełbasek. W ciepłym kwietniowym słońcu nowy Las Dobrej Woli rozpoczął własne życie. ■





# Reszta jest muzyką

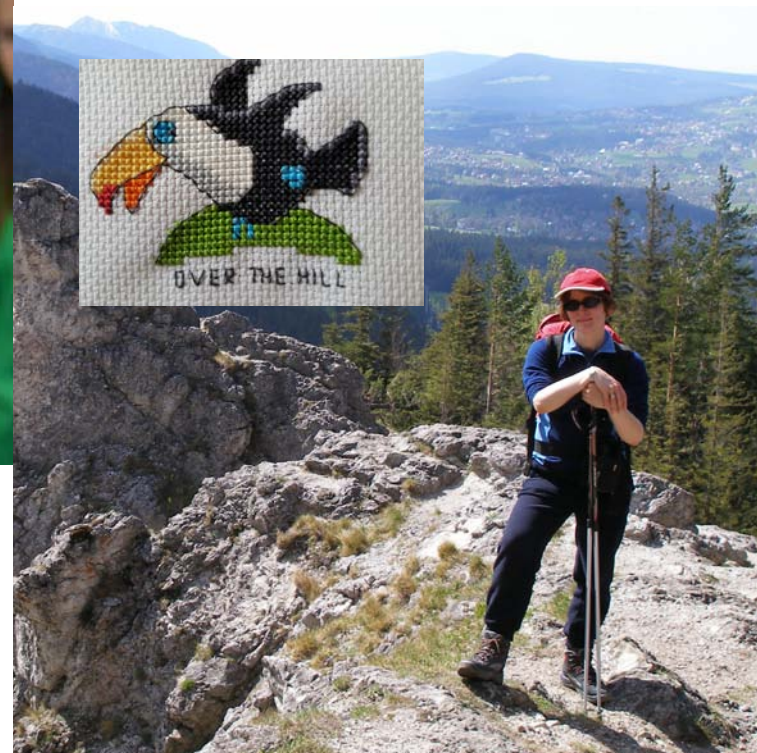
Zawsze stoi tyłem do publiczności. Czeka skupiona, aż jej podopieczni ustawią się na scenie. Potem podnosi rękę, daje znak i zaczynają śpiewać. Szkolny chór Animato z Zespołu Szkół im. Jana Pawła II w Łazach, pod dyktando Olivii Kaczyńskiej, występuje w wielkich filharmoniach, daje samodzielne koncerty, wygrywa na przeglądach. Uznaliśmy, że czas najwyższy panią Oliwię odwrócić do publiczności. Poznać osobę, dzięki której o szkolnym chórze z gminy Lesznówola mówi się na muzycznych salonach.



fot. z archiwum prywatnego Olivii Kaczyńskiej

Nim opowiem, jak do tego wszystkiego doszło, muszę zacytować SMS-a, którego dostałem po spotkaniu z panią Oliwią. „Zapomniałam powiedzieć jako ciekawostkę, że w weekendy, gdy nie koncertuję, układamy rodzinne puzzle. Takie po dwa, trzy tysiące elementów. Gdy mamy mało czasu, układamy puzzle z tysiąca elementów, a jak jest czasu dużo, to z sześciu tysięcy”.

Ponadto pani Olivia kocha wspiąć się w Tatrach i robić wielkie dzieła haftem krzyżkowym. Skończyła kurs pilotażu i marzy, by pilotować samoloty. Jak nie uda się zrobić licencji pilota, przetruci się na szybowce.



Od szkoły podstawowej była rozmiłowana w Norwegii i zainteresowana muzyką Saamów, o której pisała pracę magisterską. Teraz wraca do języka norweskiego, i gry na flecie poprzecznym (po skrzypcach z dzieciństwa i wiolonczeli w liceum to trzeci dodatkowy instrument, na którym bardzo chciała grać). Wszystko, co robi, wypełnia muzyka i śpiew.



## Muzyczne dzieciństwo

– Dziadek był organistą. Ojciec jest dyrygentem chóralnym, ale też zaczynał jako organista. Skoro urodziłam się wśród muzyków, nic dziwnego, że odziedziczyłam muzyczny talent – opowiada Olivia Kaczyńska. – Od najmłodszych lat jeździłam na kolonie chórno-sportowe z chórem Lutnia. Tata na tych koloniach prowadził zajęcia z chórem chłopięcym, a między tymi śpiewającymi chłopakami kręciłam się ja. Zrozpaczona trzylatka, która знаła wszystkie śpiewane przez nich piosenki, ale nie była chłopcem.

Dość wcześnie okazało się, że mam bardzo dobry słuch. Bardzo dobry, a nie absolutny. Dzieci, które mają słuch absolutny, są pupilami nauczycieli w szkołach muzycznych, ale mój tata pracował nad tym, by mój słuch absolutny wyłączyć. Bym skupiała się nie na perfekcji, lecz na barwie dźwięków. Gdy skończyłam sześć lat, mama uznała, że najwyższy czas, bym poszła do szkoły muzycznej.

Mama miała największy wpływ na rozwój moich zainteresowań muzycznych i na edukację muzyczną. To ona przez pierwsze lata ćwiczyła ze mną, wozila mnie na koncerty. Miałam abonament na koncerty dziecięce w filharmonii i w Teatrze Wielkim.

Bardzo chciałam grać na skrzypcach, ale tata, który sam kończył skrzypce, mówił: „Nigdy w życiu. Najbliższe cztery lata będą wyjęte z życiorysu. To jest nie do zniesienia. Najpierw piłowanie, potem skrzypienie. Nie ma mowy. Już lepiej fortepian”.

Nie było rady. Poszłam na fortepian do szkoły muzycznej im. Henryka Wieniawskiego we Włochach, bo z Piastowa, w którym się urodziłam i mieszkaliśmy, było najbliżej. Gdy miałam siedem lat, sama dojeżdżałam do szkoły. Pociągi jeździły rzadko, raz na pięć godzin, autobus z Warszawy przez Włochy dojeżdżał tylko do Ursusa, więc dość często te cztery kilometry szłam do domu pieszo lub jechałam rowerem. Ojciec dość krytycznie odnosił się do moich wczesnych „produkcji” na fortepianie. Mama była z nich dumna i wyraźnie lubiła słuchać, jak coś mi wychodziło. Z ojcem straciłam kontakt, gdy miałam piętnaście, szesnaście lat. Mama do dziś jest fanem moich chórów.

Czas w oczekiwaniu na pociąg czy autobus wypełniałam, zostając na dodatkowych zajęciach. Wszystko jedno, czy to były zajęcia dla drugiej, czy czwartej klasy. Miało to swoje dobre strony, bo mój słuch muzyczny rozwijał się szybciej niż moich rówieśników.

Pamiętam, jak pod koniec podstawowej szkoły muzycznej zламаłam w ferie rękę, a miałam grać doroczny koncert z orkiestrą i zdawać egzamin do średniej szkoły muzycznej. Pech. Skomplikowane złamanie, ręką przez tydzień w gipsie. Gdy przyszedł termin egzaminu, nie miałam wyjścia. Zdjęłam gips, zagrałam i dostałam się do szkoły.

W siódmej klasie chodziłam już do średniej szkoły muzycznej im. Józefa Elsnera na ulicy Miodowej w Warszawie. Ponieważ trudno było pogodzić podstawówkę w Piastowie ze szkołą w Warszawie, zaczęłam szukać szkoły w pobliżu szkoły muzycznej. Pamiętam zdziwienie dyrektorów szkół, gdy widzieli przed sobą dziewczynkę, która mówiła: „Mam bardzo dobre oceny, chcę się uczyć, ale muszę zmienić szkołę, bo dostałam się do szkoły muzycznej i zmiana ułatwi mi naukę. Czy mógłby mnie pan przyjąć do swojej szkoły?”

Dyrektorka szkoły podstawowej im. Marii Konopnickiej na ulicy Niecałej zrozumiała mój problem i mnie przyjął.

Średnia szkoła muzyczna pozwoliła mi na rozwinięcie skrzydeł, ponieważ system nauczania był taki, że zajęcia mieli wszyscy razem. Miałam trzynaście lat i uczestniczyłam w zajęciach razem z ludźmi dwa i trzy razy ode mnie starszymi. Byłam w klasie fortepianu pani profesor Anny Jastrzębskiej-Quinn, laureatki wielu konkursów międzynarodowych i zdobywczyni I nagrody Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Palma de Mallorca.

Pani profesor była osobą bardzo wymagającą. Wymagała ośmiu godzin ćwiczeń dziennie, co przy nauce w podstawówce było trudne do pogodzenia, ale możliwe. Schody zaczęły się w liceum, bo miałam masę zajęć i może z tego powodu sprawiałam wrażenie ciągle naburmuszonej dziewczyny, która żyje w swoim świecie, a dodatkowo ma własne pomysły, które nie bardzo są akceptowalne. Profesorowie chcą, by patrzeć w nich jak we wzorzec metra w Sèvres, a nie mieć własne pomysły.

Gdy byłam w czwartej klasie średniej szkoły muzycznej, miałam problemy zdrowotne i na pół roku wylądowałam w szpitalu. Przez sześć miesięcy nie ćwiczyłam z panią profesor, a zbliżał się egzamin końcowy. Kiedy wróciłam do szkoły, pani profesor powiedziała: „Masz za czternaście dni egzamin, ale ja dla ciebie czasu nie mam. Nawet jak zdasz, to u mnie nie będziesz już się uczyć”.

Przyznam, że to było straszne. Wyobrażałam sobie, że będę pianistką, a tu przykrość. Po latach odpowiedziałam sobie na pytanie, dlaczego pani profesor tak postąpiła i byłam jej za to głęboko wdzięczna. Ona wiedziała, że ja się na pianistkę nie nadaję. Moje kłopoty zdrowotne

powodowały, że musiałam, nadrabiając zaległości, bardzo dużo ćwiczyć. Ściągnę moich dłoni tego wysiłku nie wytrzymały, więc ciągle miałam ich zapalenie. Pani profesor o tym wiedziała. To, że nie chciała mnie uczyć, byłoby dla mnie błogosławieństwem, gdyby nie pytanie – co dalej?

### Szafa gestów

– Odpowiedź przyszła szybko. Zaprosiła mnie na rozmowę dyrektorka szkoły i powiedziała, że w szkole będzie tworzony eksperymentalny kierunek nauczania, a ponieważ mam same oceny celujące z przedmiotów teoretycznych i bardzo dużą wrażliwość muzyczną, to mnie w tym eksperymencie widzi. Wysłuchałam z uwagą pani dyrektor, ale ani na jednym, ani na drugim kierunku jakoś się nie widziałam. Jeden szedł w stronę pedagogiki, a drugi w stronę kompozycji i dyrygentury.

W pedagogice nie widziałam się kompletnie, bo znałam wielu sfrustrowanych pianistów, którzy zajęli się nauczaniem, gdy nie wyszła im kariera muzyczna. Dyrygenturę zaś postrzegałam jako zajęcie dla mężczyzny. Zawsze chciałam grać z orkiestrą, ale jako pianistka, bo pianino było instrumentem, w którym się zakochałam, chodząc na koncerty. Co w związku z tym zrobiłam? Wybrałam obydwa kierunki i postanowiłam po trzech latach zdecydować, co robić dalej.

W liceum zdałam maturę, a na lekcje dyrygowania trafiłam do profesora Wita Zawirskiego. Profesor należał do tych pedagogów, którzy pozwalali uczniom na samodzielność. Powiedział do mnie: „Otwórz szafę swoich gestów, ja ci niczego nie będę narzucał”. Otwierałam więc swoją szafę i szukałam, co mi do jakiego utworu pasuje, ale ciągle nie widziałam się w roli dyrygenta. Dyrygent kobieta? Nie, to mi zupełnie nie pasowało.

Był nawet taki moment, gdy chciałam zrezygnować, ale wtedy usłyszałam, że to byłaby szkoda, bo mam bardzo dobre gesty w tej swojej szafie. I znowu musiałam się zastanowić, co dalej. Tym bardziej, że byłam wtedy zafascynowana węgierskim kompozytorem, etnografem, muzykologiem, pedagogiem i reformatorem systemu nauczania muzyki w szkolnictwie węgierskim. Byłam zafascynowana tym, co robił Zoltan Kodlay, który uważał, że każdy może śpiewać. Doszłam do wniosku, że muszę pójść własną drogą, że powinnam zacząć pracę z żywym zespołem, i w szkole muzycznej założyłam swój własny.

Wywiesiłam ogłoszenie, że kto chce grać fajne utwory, może się do mnie zgłosić, bo zakładałam zespół, w którym będziemy grali to, co chcemy, a nie to, co grać musimy. Zgłosiło się tylu chętnych, że moglibyśmy stworzyć małą orkiestrę symfoniczną.

Po występie dyplomowym w naszej szkole moją orkiestrę zaczęto wypożyczać na inne uczelnie. Mało tego, gdy ambasada Norwegii obchodziła swoje uroczystości w szkole Bohaterów Narviku, zaproszono nas i daliśmy koncert. Ja na tym koncercie śpiewałam i dyrygowałam



### ...ciągle nie widziałam się w roli dyrygenta

orkiestrą. Nie powiedziałam jeszcze, że moim głównym instrumentem był wokal. Uczylałam się u wybitnych śpiewaczek. Między innymi u Poli Lipińskiej, solistki Teatru Wielkiego - Opery Narodowej.

Potem były kolejne studia. Jako specjalizację wybrałam prowadzenie zespołów wokalnych i wokально-instrumentalnych, czyli pracę z chórem i zespołem instrumentalnym jednocześnie. Na dyrygenturę symfoniczną było bardzo trudno się dostać, bo przyjmowano dwie osoby rocznie. Ze stu osiemdziesięciu podań po przesianiu czterdzieści osób było dopuszczonych do egzaminu, a na studia przyjmowano dwie.

Miałam szczęście, bo profesor Bogusław Madej, kompozytor współczesnej muzyki poważnej, dyrygent, pianista i pedagog powiedział, że widzi we mnie potencjał i przyjął do swojej klasy. Mogłam więc realizować się jako dyrygent i mogłam już zacząć pracować, bo praca mnie szukała.

W tym czasie wyszłam za mąż. Urodziłam dwójkę dzieci i dostałam pracę dyrygenta w chórze mieszanym przy miejskim ośrodku kultury w Piastowie. Dorabiałam sobie, przepisyując prace dyplomowe, bo miałam komputer i bardzo sprawne paluszki pianistki. W ciągu nocy mogłam napisać sto pięćdziesiąt stron pracy z nutami.

Tak więc moja droga do dyrygentury była dość długa i kręta. Przez fortepian i przez śpiew. Bo uwielbiałam i uwielbiam śpiewać. Gdy tylko dorosłam i mogłam śpiewać w chórze dziewczęcym Lutnia, natychmiast tam wskoczyłam.

### Czas na Animato

– Po trzynastu latach pracy na różnego rodzaju umowy zlecenia zorientowałam się, że z tego emerytury nie będzie i że trzeba podjąć stałą pracę i zacząć płacić składki na ZUS. Podjęłam więc pracę wykładowcy muzyki na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Pracowałam też z dziećmi. Mąż dostał pracę organisty w parafii w Raszynie.

Pewnego dnia ksiądz proboszcz przedstawił mi pani dyrektor gimnazjum w Raszynie, która zaproponowała mi prowadzenie gimnazjalnego chóru. Zaczęliśmy pracować, ale po roku zmieniła się dyrekcja szkoły i ta nowa uznała, że w gimnazjum muzyka jest niepotrzebna. Wtedy proboszcz zaproponował mi zajęcie, które mnie zaskoczyło. Powiedział: „Pani Olivio, ponieważ pani tak

*...moja droga do dyrygentury  
była dość długa i kręta*



wspaniale pracuje z dziećmi podczas oprawy mszy, to może podejmie pani pracę w przedszkolu jako katecheta. – Ale ja nie mam żadnego przygotowania – odpowiedziałam. – To żadna przeszkoda, przecież może pani skończyć studia podyplomowe” – przekonywał ksiądz. I mnie przekonał.

Skończyłam studia teologiczne i katechetyczne i pracowałam we wszystkich raszyńskich przedszkolach w okolicy. Prowadziłam katechezę z gitarą. Jednocześnie uczestniczyłam w kursach muzycznych, tzw. kursach orffowskich, prowadzonych na Akademii Muzycznej przez pedagogów z Instytutu Carla Orffa w Salzburgu. Carl Orff to był wybitny niemiecki muzyk, który opracował własną metodę wychowania muzycznego dzieci.

Uważał, że „muzyka elementarna nigdy nie jest tylko samą muzyką. Połączona jest z ruchem, tańcem i mową. Jest taką muzyką, którą trzeba samemu tworzyć, w którą jest się zaangażowanym nie jako słuchacz, lecz jako współgrający”. Byłam zafascynowana metodą i mogłam ją zastosować praktycznie, bo pani Zofia Doktorska, dyrektor szkoły w Łazach, zaproponowała mi pracę w jej szkole. Zaczęłam pracę w drugim roku istnienia szkoły i pracuję z dziećmi i młodzieżą do dziś. Pani dyrektor postawiła tylko jeden warunek. Do chóru nie ma naboru. Śpiewają dzieci, które chcą.

To, że słuchaczy trzeba przygotowywać do słuchania muzyki od najmłodszych lat, dotarło do mnie, gdy obserwowałam sale koncertowe. Przeważali na nich ludzie powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia. Zdałam sobie sprawę, że to pokolenie wymiera i zanim ja będę na etapie występów w takich miejscach, to sale koncertowe będą puste. Nie będzie dla kogo grać. I wtedy gdzieś zrodziła

się potrzeba pokazywania ludziom pięknej muzyki w takiej formie, która byłaby dla nich atrakcyjna. Jeśli dzieci nie będą miały potrzeby obcowania z muzyką, to sale koncertowe będą puste.

Założyłam chór Animato i cały czas jestem pod wrażeniem tego, co się z dziećmi udaje zrobić. Najpierw wyciągam je z takiej studni niesłuchania muzyki i uczę słuchać. Potem uczę je pracować głosem, odnajdywać w tym radość i uczę samodyscypliny. Zespół z każdym rokiem jest lepszy.

Zostaliśmy zaproszeni przez Fundusz im. Staszka Jończyka do udziału w międzynarodowym konkursie chórów w Będzinie i zajęliśmy trzecie miejsce, a rywalizowaliśmy między innymi z chórem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Po Będzinie wystartowaliśmy w konkursie organizowanym w ramach Ogólnopolskiego Programu Rozwoju Chórów Szkolnych „Śpiewająca Polska” i wygraliśmy przegląd w Warszawie. Zostaliśmy zaproszeni do koncertu finałowego we Wrocławiu. Potem Animato dostał zaproszenie do udziału w koncercie gwiazdkowym organizowanym w Filharmonii Narodowej. Do współpracy z moją czterdziestką doprosiliśmy chór Sempre z GOK-u i pięćdziesięcioosobowy chór z naszej gminy zaśpiewał w filharmonii. Potem wystąpiliśmy razem z zespołem Ars Nova u św. Katarzyny. Po Filharmonii Narodowej w Warszawie śpiewaliśmy w filharmonii w Łodzi. Plany mamy ambitne.

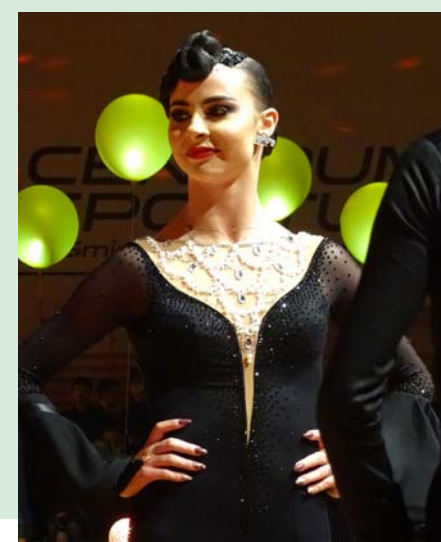


*...jestem pod wrażeniem  
tego, co się z dziećmi  
udaje zrobić*

*Po rozmowie z Olivią Kaczyńską nie mamy wątpliwości, że plany chóru Animato się spełnią. Tegoroczny kalendarz występów mają wypełniony. W grudniu Animato wraca do Filharmonii Narodowej. Już nie ogranicza się do lokalnych występów w Lesznowoli, Raszynie, Łazach i Magdalence. Szkolny chór Animato staje się powoli marką rozpoznawalną, a pani Olivia marzy o otwarciu w szkole klas chóranych. ■*

Ten, kto kocha taniec towarzyski albo po prostu lubi patrzeć na wirujące pary, musiał być tego wieczoru w pełni usatysfakcjonowany. W hali sportowej szkoły podstawowej w Łazach po raz dziesiąty odbyła się wyjątkowa impreza – GD Dance Show 2018. Grand Prix Polski Ekstraklasy Federacji Tańca Sportowego oraz Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego o Puchar Wójta Gminy Lesznowola.

# Samba, cha-cha, paso doble...



Do turniejowych potyczek stanęło kilkuset najbardziej utalentowanych młodych tancerzy i tancerek z całej Polski. W ich wykonaniu można było podziwiać zarówno tańce standardowe, jak i latynoamerykańskie. Nie zabrakło więc dostojnych rytmów walca angielskiego, gorącego tanga, szybkiego jive'a i quick stepa oraz zmysłowej samby.

Na parkiecie wirowały kolorowe stroje tancerek, misternie wystylizo-

wane fryzury i tancerze w czarnych frakach. Wyjątkowa oprawa scenograficzna, szybkie tempo zmieniających się grup tanecznych i profesjonalni sędziowie, wszystko to sprawiło, że na turnieju czuć było ducha gorącej rywalizacji. Widzowie zasiedli na trybunie hali sportowej i przy nakrytych białymi obrusami stolikach wokół parkietu, co nadawało imprezie profesjonalny, elegancki charakter.



Miłośnicy telewizyjnego programu „Taniec z Gwiazdami” mogli być dodatkowo zadowoleni, bo tradycyjnie galę prowadziła popularna, lubiana przez widzów jurorka tego programu Iwona Pavlović, a na deser wystąpili w swoim własnym tanecznym show ulubieńcy „Tańca z Gwiazdami”: Anna Głogowska, Rafał Maserak i Tomasz Barański. Było co podziwiać. Całą trójkę publiczność nagrodziła długimi, gorącymi brawami.

GD Dance Show 2018 przeszedł do historii jako piękna, widowiskowa impreza. Na widowni szkoły w Łazach publiczność z zachwytem patrzyła na umiejętności młodych zawodników. Kto przyglądał się uważnie, na pewno zauważył, jakiego ogromnego wysiłku fizycznego wymaga to, by taniec wyglądał lekko i swobodnie.

Turniejowe zmagania skończyły się po północy. Puchary Wójta Gminy Lesznawola pojechały wraz z tancerzami do Torunia. Zarówno w stylu tańców standardowych, jak i latynoamerykańskich puchar zdobyła ta sama para: Jan Szczepański i Amelia Nowak z Tanecznego Klubu Sportowego DANCE&DANCE Toruń.

W kategorii Grand Prix Polski Federacji Tańca Sportowego Dorosłych w stylu standardowym najlepsi byli: Mateusz Brzozowski i Justyna

Moźdzonek – Uczniowski Klub Sportowy FEELING Warszawa, aktualni wicemistrzowie Polski w kategorii par standardowych. GPP FTS Dorosłych w stylu latynoamerykańskim wygrali: Bartosz Lewandowski i Anna Karolina Wałachowska z Klubu Tańca Towarzyskiego DUET Warszawa – aktualni drudzy wicemistrzowie Polski par dorosłych w stylu latynoamerykańskim.

Podczas turnieju GD Dance Show odbyły się też dwie konkurencje w kategorii Grand Prix Polski Federacji Tańca Sportowego – kategoria Młodzież w stylu standardowym i latynoamerykańskim oraz kategoria Dorosli ST i LA. W kategorii GPP Młodzież ST zwycięzcami zostali: Błażej Snochowski i Zuzanna Ryś z Klubu Tańca Towarzyskiego DUET Warszawa, aktualni mistrzowie Polski w kategorii par młodzieżowych, a w kategorii GPP Młodzież styl latynoamerykański: Jan Bednarz i Wiktoria Leszek z Klubu Sportowego M-Team Kraków, wicemistrzowie Polski w kategorii par młodzieżowych w stylu latynoamerykańskim.

Sponsorami turnieju byli GD Poland – Chińskie Centrum Handlowe Wólka Kosowska i EACC – Tureckie Centrum Handlowe Wólka Kosowska. Organizatorami: PRO-DANCE Nowa Iwiczna oraz Zespół Obsługi Placówek Oświatowych w Lesznawoli. ■

# O czym tu mówić

– Nic wielkiego w życiu nie zrobiłem. Nie mam zasług, szczególnych pasji, więc o czym tu mówić? Przeżyliśmy z żoną szczęśliwie sześćdziesiąt lat, pobudowaliśmy dom, wychowaliśmy dzieci. To przecież nic nadzwyczajnego – powiedział osiemdziesięcioośmioletni pan Zygmunt Wyszyński, gdy chcieliśmy się umówić na rozmowę. Po chwili zastanowienia zgodził się, że możemy spróbować.

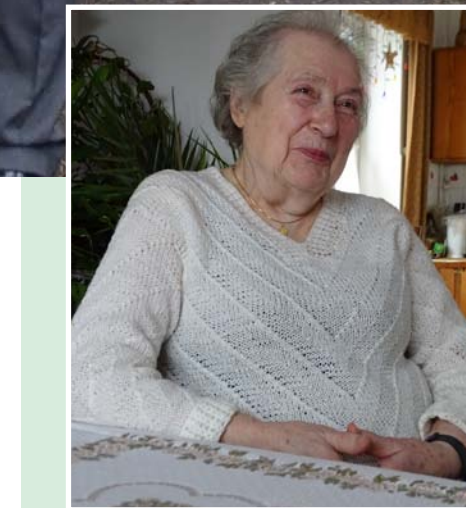
Pani Aniela częstuje pysznym jabłkowym sokiem. – To z naszych jabłek. Czysty, niesłodzony – dodaje. – Mamy w Stefanowie działkę pracowniczą, a na niej kilka drzew owocowych, warzywa i kwiaty. Robię sok w sokowirówce, ale też w sokowniku. Ten z sokowirówki jest bardziej klarowny. Sok z sokownika wprawdzie jest mętny, ale za to można wykorzystać miąższ. Jeszcze gorący wkładam do słoików i bez potrzeby pasteryzowania mam gotowe jabłka do szarlotki.

W ten oto sposób rozpoczęła się zwykła rozmowa o życiu z Anielą i Zygmuntem Wyszyńskimi z Magdalenki.

## Nasza graciarnia

– Trochę tu u nas ciasno, ale gdy nadchodzi zima, wszystko, co w donicach, wędruje z werandy do domu. Wnosimy też stół, ławy, krzesła i tyle różnych rzeczy, że robi się graciarnia – śmieje się pan Zygmunt. – Ale dobrze nam z tym. O, nawet mój rower treningowy tu stoi. Normalnie jeżdżę wszędzie rowerem, na działkę do Stefanowa też, ale gdy przyjdzie zima i robi się niebezpiecznie, odstawiam rower. Za stary jestem na zimowe jazdy.

Któregoś dnia, gdy dzieci z wnuczkami były u nas na obiedzie, powiedziałem, że pewnie zapomnę jeździć na rowerze, bo na zimę go odstawi-



łem. Na to zięć powiedział: „Trzeba kupić sprzęt rehabilitacyjny”. I na drugi dzień przywiózł mi ten stacjonarny rower.

„Daj spokój, a gdzie ja go postawię, przecież wszystko już wnieśliśmy do domu” – zapytałem



półzartem. „Trzeba go postawić przed telewizorem. Będzie tata patrzył w telewizor i kręcił”. No i problem został rozwiązany. Żeby nie stracić kondycji, siadam i kręcę. Ale za to jest graciarnia. Coś za coś.

– Nie narzekaj, bo miejsca jest tyle, że każdy ma gdzie siedzieć wygodnie – mówi pani Aniela. – Jak się wszyscy zejdą, to dziewięć osób dorosłych zasiada przy stole, a jeszcze są wnuki. Każde spotkanie świąteczne odbywa się tutaj, bo u dzieci jest albo za ciasno, albo za wysoko.

– Córka mieszka na czwartym piętrze w domu bez windy, to ja po schodach tak wysoko nie wejść – tłumaczy pan Zygmunt. – Przywożą do nas różne dania i razem świętujemy. Bawimy się, jak możemy.

– Zamieszkaliśmy tu, gdy jeszcze szkoły nie było w Magdalence, gdy dookoła były pola, rosły ziemniaki i szumiały zboża. Pola należały do PGR Łazy. Dopiero jak pobudowano szkołę, ruszyła sprzedaż działek i zaczęło się budowanie. Powstawały domy i całe osiedla.

Działkę kupiliśmy od gminy w 1977 roku. Nieużytek z dołami, które podobno były lejami po bombach zrzuconych w czasie ćwiczeń przed wojną. Inni mówili, że tu kopano piasek na budowy i dlatego powstały wielkie doły – opowiada pani Aniela.

– Nie, podobno te leje powstały od bomb zrzuconych w 1939 roku, kiedy Niemcy próbowali zbombardować radiostację raszyńską. Nie trafili

i trzy bomby spadły właśnie tutaj. Dopiero potem z tych dołów po bombach pobierano piasek – podaje inną wersję pan Zygmunt. – Dzięki tym dołom zrobiliśmy sobie na zewnątrz piwnicę, bo wykop był już gotowy. Mamy też piwnicę pod domem, co uważam za błąd, którego bym dziś nie popełnił.

– To jest dopiero graciarnia – wtrąca pani Aniela. – Czego tam nie ma? Tam jest wszystko, co od dwudziestu lat nie jest potrzebne. Nawet stare, nikomu niepotrzebne baseny dmuchane, zabawki, garnki i inne rupiecie.

– Gdy żona kupowała działkę, mnie w Polsce nie było. Pracowałem wówczas w Libii, gdzie projektowałem i budowałem drogi.

Budowa domu zaczęła się w 1980 roku. Potem była przerwa, bo nastąpił stan wojenny. Wtedy chodziły pogłoski, że nam ten dom odbiorą i zrobią w nim przedszkole dla dzieci pracowników PGR. Po domach chodzili powołani przez władze, chyba w 1983 roku, inspekcje. Takie społeczne trojki robotniczo-chłopskie, które kontrolowały, czy ktoś czegoś nie ma za wiele, czy nie ma innego mieszkania, czy może ma za duże i można mu jakąś rodzinę dokwaterować, zabrać część domu czy mieszkania.

– Wszystko się u nas skończyło, gdy w Magdalence trójka weszła skontrolować dom jakiegoś wysokiego działacza partyjnego. Zrobiła się z tego taka zawierucha, że zaprzestano trójkowych kontroli – wspomina pani Aniela. – Nasz dom był w stanie surowym i powoli przystąpiliśmy do jego wykończenia, bo wiadomo, jak wtedy było z materiałami. Wszystko było na przydział i gmina chętnie przydziały dawała. Gorzej było, gdy pojechało się do magazynu, by przydział zrealizować. Często magazynier mówił: „Panie, niech ci, co wam kartkę dali, najpierw przysłaż towar, żeby było, co wydawać, a potem dopiero dział”. Takie były realia.

Budowa była ciężkim zadaniem, ale ludzie sobie pomagali i jakoś to wszystko szło.

### Opatrzność boska

– Gdy skończyłem Liceum Drogowo-Mostowe w Białymstoku, dostałem nakaz pracy do Warszawy. Pracowałem w Centralnym Biurze Studiów i Projektów Transportu Drogowego i Lotniczego na ulicy Hożej 63/65. I stamtąd zostałem „rzucony”, tak to się kiedyś mówiło, na odcinek Grajewo-Augustów.

Nie wiem, jakiego państwo są wyznania, czy rzymsko-katolickiego, ale to, że się z Anielą poznaliśmy, zawdzięczam opatrzności boskiej. Opatrzność zaprowadziła mnie jako projektanta na wspomnianą drogę Grajewo-Augustów. Ponieważ miałem do wykonania projekt czterdziestokilometrowego odcinka, zamieszkałem na prywatnej kwaterze w Rajgrodzie, w połowie odcinka. Byłem kawalerem po dwudziestce i trochę się po okolicy rozglądałem, żeby znaleźć drugą połówkę do życia. Żeby w życiu było weselej.

Któregoś dnia zobaczyłem wysiadającą z autobusu piękną dziewczynę. Pomyślałem: „Warto się nią zainteresować” i krok za krokiem poszedłem za nią, by zobaczyć, gdzie mieszka.

Zobaczyłem, ale od razu do niej nie zachodziłem. Postanowiłem trochę o nią popytać. Kto to, jaka rodzina i tak dalej. Przeprowadziłem odpowiedni wywiad z sąsiadką dziewczyny, u której, jak chciała opatrzność, akurat mieszkałem na kwaterze.

Dowiedziałem się, że rodzina jest wspaniała, a dziewczyna pracuje w Grajewie. Na sobotę i niedzielę przyjeżdża do domu rodziców. Co wieczór pani Stefania Popko, moja gospodyni, opowiadała mi o pięknej sąsiadce i jej wspaniałej rodzinie.

– Bo pani Stefania była miejscową swatką i lubiła kojarzyć pary – wtrąca, przysłuchująca się wspomnieniom męża, pani Aniela.

– Jak mnie złapała, to już nie puściła – śmieje się pan Zygmunt. – Któregoś dnia, pewnie to była sobota, poszliśmy w sąsiedzkie odwiedziny do domu Anieli i tak się poznaliśmy.



W owym czasie kroilo mi się mieszkanie w Warszawie, więc wzięliśmy ślub i zamieszkaliśmy w stolicy. Jak długo się spotykaliśmy? W tym miejscu państwo Wyszyńscy wybuchają śmiechem. – Krótko jakoś – mówi pan Zygmunt. – Nie wiem, czy widzieliśmy się przed ślubem trzy, czy może cztery razy.

– No, ty już nie przesadzaj – protestuje, śmiejąc się, pani Aniela. – Jeszcze tak napiszą i wyjdzie z tego nie wiem jaka historia. Wielka satyra.

Ale tak to było i tak wyszło. Takie życie – podsumowali oboje tę część opowiadania.

– Spróbujcie państwo soku – na wszelki wypadek przerwał wspomnienia pan Zygmunt, a pani Alina dodała, że sok jest ze świeżych jabłek, czyściutki, bez cukru, niegotowany, nieprzetwarzany i lekko kwaskowy.

### Przygoda z Afryką

– W 1955 roku jako projektant dróg i mostów byłem w Afryce. W Syrii. Nim wyjechałem za granicę, musiałem zdać egzamin z miernictwa, bo w tamtych czasach nie projektowało się dróg na podstawie map satelitarnych, tylko trzeba było być na miejscu, zobaczyć, co, jak, którędy i dopiero projektować.

To pozwalało uniknąć błędów i nie projektować studzienek zbiera-

jących z jezdni wodę na wzgórzach czy wzniesieniach drogi. Teren był różnie ukształtowany i trzeba było tam być, zobaczyć, poznać i dopiero ująć do projektowania.

W Syrii mieliśmy zrobić projekt odbudowy Kolei Hidżaskiej. Pamiętam, że po przyjeździe do stolicy Jordanii, Ammanu, zatrzymaliśmy się w hotelu i wieczorem we trzech poszliśmy do kawiarenki. Obok przy stoliku siedział samotny mężczyzna. Przez chwilę przysłuchiwał się naszej rozmowie, a potem zapytał, czy jesteśmy Polakami, bo on jest Rosjaninem.

Dostawiliśmy do stolika czwarte krzesło, przysiadł się do nas i zaczęliśmy rozmawiać. Na początku rozmowa się nie kleiła, bo o czym rozmawiać z nieznajomym, ale pomału nasz gość się rozgadał. Powiedział, że bardzo lubi Polaków, że to dobry naród, a mógł się o tym przekonać, bo razem z Polakami studiował na politechnice w Petersburgu.

Gdy to powiedział, mój kolega, szef naszej wyprawy, nastawił uszu,

a on opowiadał dalej: że zaprzyjaźnił się z jednym z polskich studentów, że ten student miał na imię Franciszek i bardzo mu pomagał w matematyce. Zaprzyjaźnili się do tego stopnia, że Franciszek zaprosił go do Polski i on odwiedził go w internacie.

W tym momencie mój szef nie wytrzymał i mówi: „A ty Pietia... – nie skończył zdania, bo nasz Rosjanin zbaraniał. Przecież się nie przedstawił, więc skąd facet wie, że on ma na imię Pietia? – A ty, kto? – Zapytał zaskoczony. – Ja, Franciszek. Ten Polak”. I panowie rzucili się sobie w objęcia.

Pomyśleć, jak to w tym świecie jest. Gdzie Petersburg, gdzie Amman i ta mała kawiarenka, w której po latach, na obczyźnie przez przypadek spotyka się dwóch znajomych. Nie pamiętali swoich nazwisk, ale pamiętali imiona.

– Jak będziesz tak dokładnie opowiadał – strofuje męża pani Aniela – to do wieczora ci zejdzie.

– Ale dokończę, bo to jest ciekawe – nie ustępuje pan Zygmunt. –



fot. z archiwum prywatnego państwa Wyszyńskich



Otóż ten Rosjanin opowiadał, że zaraz po studiach dostał pracę w Afryce, a potem trafił do Jordanii. Ożenił się i tu zamieszkał. Kiedy opowiedzieliśmy mu, kim jesteśmy i po co przyjechaliśmy, powiedział nam ciekawą historię.

„Wiecie, co o was piszą nasze gazety? Piszą, że do Jordanii przyjechali z Polski komuniści i że tu chcą robić jakieś pomiary, podjąć się budowy dróg i odbudowy Kolei Hidżaskiej”. Franciszek wyjaśnił mu co i jak, że z tymi komunistami to jakaś wredna propaganda i że podejrzewa o wrogą robotę Anglików, którzy też startowali do przetargu na projekt tej drogi.

Nim przystąpiliśmy do pracy projektowania drogi z Damaszku do Jordanii i Arabii Saudyjskiej minęło dwa tygodnie. Arabowie są ludźmi gościnnymi i w ogóle się nie spieszyli. Codziennie słyszeliśmy: „Jutro, pojutrze, spokojnie. Odpocznijcie, napijcie się kawy, przyjdzie czas”. I czas przyszedł.

Przystąpiliśmy do pracy. Zatrudniliśmy w Ammanie robotników, którzy w połowie drogi do Arabii Saudyjskiej rozbili na pustyni namioty, i prace ruszyły. Jakies półtora kilometra od namiotowego miasteczka był posterunek graniczny ze strażnikami na wielbłądach. Pewnego dnia, zamieszanie. Nasi robotnicy z Ammanu zostali najechani przez

jakąś grupę, która postanowiła ich przepędzić i zająć ich miejsca pracy.

Jedni atakowali na wielbłądach, inni z samochodów. Bijatyka była niewąska. Do akcji przystąpili na wielbłądach strażnicy z posterunku granicznego i sprawa trafiła do sądu w Ammanie. A tam sąd działał błyskawicznie. Za napad na pustyni groziły winnym bardzo wysokie kary.

Nie było żadnego śledztwa. Strony wprowadzono do wielkiej sali sądowej. Był tam też Franciszek

Wichrzycki, kierownik naszej grupy. Sąd zapytał, jak on tę sprawę widzi, a Franciszek spokojnie odpowiedział, że do bójki doszło w związku z naszą obecnością. Gdyby nas tam nie było, nie byłoby bójki. Sąd przyznał mu rację. Franciszek zaproponował, że damy każdemu z uczestników bójki po jednym funcie, pogodzą się i będzie po sprawie. Sąd z uznaniem pokiwał głową, przeciwnicy się wyściskali, długo się sobie i sądowi kłaniali i spór został pokojowo rozwiązany.

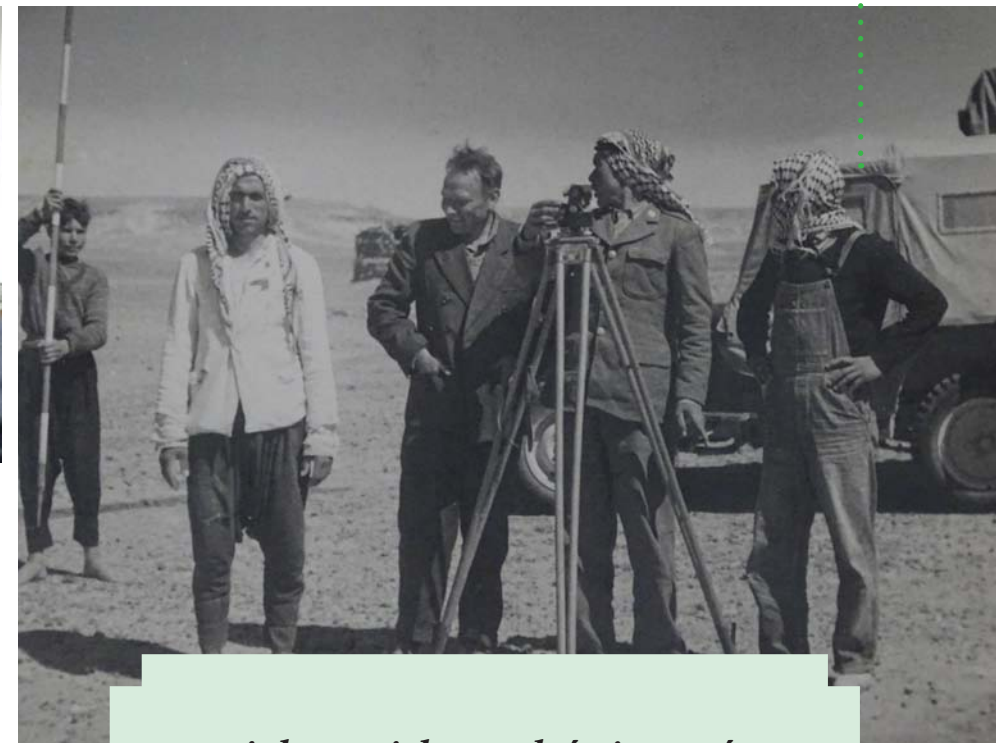


### Portfel

– Podczas bójki jeden z naszych arabskich robotników ukradł mi portfel z pieniędzmi, paszportem i innymi dokumentami. Poszedłem do kierownika robotników i mówię: „Słuchaj, ukradziono mi dokumenty. Jeśli się nie odnajdą, będzie niedobrze. – To niemożliwe” – powiedział kierownik, ale zawiadomił posterunek na granicy, opowiadając dowódcy posterunku, co się stało. Tamten wysłuchał i obiecał, że zawiadomi odpowiedniego człowieka, który przyjedzie do naszej bazy i wskaże tego, który ukradł.

Dobrze by było, pomyślałem, nie wierząc, że to jest możliwe. Ale następnego dnia przyjechał jakiś człowiek, zebrał wszystkich robotników w koło, sam stanął na środku i przemówił. Powiedział, że dokonano kradzieży portfela obcokrajowca, który przyjechał, żeby prowadzić kolej przez pustynię. Potem chodził przed nimi i pokazując palcem na każdego, mówił: „Jeśli ty to zrobiłeś, oddaj ten portfel w tę noc. Zrób to tak, żeby nikt nie widział, ale połóż go w widocznym miejscu. Mam tu takie przyrządy – mówił dalej, pokazując każdemu jakieś szczypce – które będą rozpalone do czerwoności i którymi każdemu z was wyciągnę język. Temu, który jest niewinny, nic się nie stanie, ale temu, który ukradł, ściśnięty szczypcami język spuchnie tak, że nosa i oczu nie będzie widać”.

Skończył i kazał się rozejść. Patrzyłem na to przedstawienie z niedowierzaniem, ale oni mu uwierzyli. Gdy minęła noc, obudził mnie okrzyk: „Jest, wszystko jest. Portfel się znalazł”. Czyżby ci ludzie byli wówczas na takim poziomie, że



## ...jako projektant dróg i mostów byłem w Afryce

uwierzyli w magiczną moc szczypiec? Było to sześćdziesiąt lat temu, a ja do dziś nie znam na to pytanie odpowiedzi.

### Mesjaszek

– Pewnego dnia odwiedził naszą bazę dostojnik z Arabii Saudyjskiej. Chciał się z nami poznać. Robotnicy arabscy chcieli ugościć znacznego gościa, więc złapali gazelę i zrobili grill. Przy grillu usiadł znaczący gość, arabski szef robotników i my. Gość rwał rękoma kawałki mięsa i miejscowym zwyczajem, świadczącym o wielkim szacunku, wkładał nam do ust.

Grill zakończył się zaproszeniem nas do domu dostojnika. Pojechaliśmy do niego za kilka dni i gdy weszliśmy na dziedziniec jego posiadłości, spotkała nas gromada dzieci. W pierwszej chwili myślałem, że trafiliśmy do jakiegoś przedszkola. Nawet zapytałem Franciszka, co to za dzieci. Franciszek mi uświadomił, że wszystkie dzieci były naszego gospodarza, bo miał on prawo do posiadania czterech żon.

Gdy jechaliśmy w gościnę, na pustyni spotkała nas krótka i tak

gwałtowna burza piaskowa, że gdy przeszła, nasz samochód tkwił po osie w piachu i pojęcia nie mieliśmy, w którą stronę jechać. Z kłopotu wybawiły nas samochody, które przewożący gospodarz po nas wysłał.

Ale to nie był jeszcze koniec przygód. Gdy zbliżaliśmy się do jego posiadłości, trafiliśmy na przelot szarańczy. Niczego podobnego w życiu nie widziałem. Trafiliśmy na czarną ścianę, która przesłoniła wszystko. Gdy przelot się skończył, mogliśmy ruszyć.





### ...w ubiegłym roku obchodziliśmy diamentowe gody

Dojechaliśmy do miejsca. Patrzymy, płoną ogniska, a na tacach podają smażoną szaranczę. Spojrzałem na Franciszka, a on mówi: „Nie ma wyjścia. Musimy jeść, bo się obrażą. Bierz, Mesjaszek, robaka i jedź” – powiedział do mnie. Mówił na mnie Mesjaszek, bo widział, że ja zawsze odmawiałem pacierz.

W 1973 roku wyjechałem do Libii...

#### Jubileusz

– Dobrze, koniec już z Afryką – zaprotestowała pani Aniela.  
– W Libii byłeś dwa razy, a w Syrii jeszcze przed ślubem – uzupełniła informacje. – Jeśli chodzi o mnie, to ja nie mam takich opowieści. W 1957 roku wzięliśmy ślub, a w ubiegłym roku obchodziliśmy sześćdziesiąt lat pożycia małżeńskiego, czyli diamentowe gody.

Była piękna uroczystość w naszym kościele w Magdalence. Ksiądz Andrzej Grefkowicz wręczył nam dyplom gratulacyjny od kardynała Kazimierza Nycza. Potem było



drugie uroczyste spotkanie i błogosławieństwo biskupa w Świątyni Opatrzności Bożej.

A nasze życie? Ja wychowywałam dwoje dzieci, mąż wyjeżdżał. Więcej go nie było, niż był, bo przecież pracował nie za biurkiem, tylko w terenie. W kraju i za granicą. Projektował drogi także w naszej gminie. Ja od 1962 roku pracowałam w administracji państwowej. Trzydzieści lat w jednym urzędzie. Potem przeszłam na emeryturę. A jak mąż przeszedł na emeryturę, był na terenie gminy inkasentem za wodę i dziesięć lat działał w radzie parafialnej.

Hodował z kolegą nutrie, ale jak zaczęła się moda na sztuczne futra, skończyła się hodowla. Hodował też indyki. Dziś ma kilka królików

i działkę, na którą jeździ rowerem. Wprawdzie obydwójce chodzimy z rozrusznikami serca, mąż od osiemnastu lat, a ja od ośmiu, to się nie nudzimy. Zawsze mamy co robić. Życie nam się udało, dzieci i wnuki też. ■



– Dawniej tu była wieś. Spokój, zieleń pól, pianie kogutów, kwitnące wiosną drzewa owocowe. Taka była Nowa Iwiczna moich dziadków i moich rodziców. Taką pamiętam z lat dziecięcych. Część zabudowań z gospodarstwa moich rodziców do dziś stoi na rogu Krasickiego i Jarzębinowej, choć dawniej Jarzębinowej nawet w planach nie było – mówi Jerzy Klimek, wieloletni radny z rady sołeckiej w Nowej Iwicznej.



– Nowa Iwiczna to był podwarszawski region rolniczy, gdzie uprawiano warzywa i kwitła produkcja kwaciarska. Każdy tu był rolnikiem, bo ziemia była wysokiej klasy, a w każdym gospodarstwie były konie, krowy, świnie, kury, gęsi. Ptactwo i zwierzęta gospodarskie. Rewolucja zaczęła się w latach dziewięćdziesiątych. Gospodarze, którzy uprawiali ziemię, byli coraz starsi, a młodych, chętnych do tego, by pracować na ziemi, nie było. W latach dziewięćdziesiątych zaczynała się nowa historia, która wymazywała z podwarszawskiej mapy wiejski charakter Nowej Iwicznej. Zaczynał się boom budowlany. Znikały gospodarstwa, zanikał miejscowy wiejski folklor. Resztki gospodarstw rolnych są jeszcze w Nowej Woli i Lesznowoli.





fot. z archiwum prywatnego Jerzego Klimka



### ...wszystko kręciło się w okolicach dawnej szkoły

#### Stara Nowa Iwiczna

– Nie jestem, broń Boże, przeciwnikiem zmian. Ale żał mi tamtej, starej Nowej Iwicznej, choć wiem, że czasu i postępu się nie zatrzyma.

Dlatego z wielkim sentymentem oglądam nadszarpnięte zębem czasu rodzinne zdjęcia. One przypominają mi tamtą wieś. Mam takie zdjęcie z bratem, gdy jako dwulatek siedzę w wózku spacerowym. Miejsca, gdzie było robione, nikt by już nie rozpoznał. Koło budynku starej szkoły mieszkały dawniej trzy rodziny braci Klimków i państwo Lewandowscy. Dzisiejsza ulica Krasickiego była brukowanym traktem i nie miała żadnej nazwy.

Tym traktem wieczorem jechały wozy konne z warzywami, by około północy dotrzeć na targowisko przy ulicy Polnej w Warszawie. Po prawej stronie bruku, patrząc w kierunku Puławskiej, był rów, a po przeciwnej domy stały bezpośrednio przy drodze.

Po lewej stronie za torami były chyba dwa budynki i chyba trzy przed torami. Cała Nowa Iwiczna od Puławskiej do Kieleckiej liczyła czternaście budynków.

Wszystko wtedy kręciło się w okolicach dawnej szkoły. To było takie centrum Nowej Iwicznej. W latach pięćdziesiątych założono Rolniczy Zespół Spółdzielczy o słusznej nazwie Wola Ludu. Do tej spółdzielni należało okoliczne społeczeństwo. Wola Ludu miała ogromne, chyba półhektarowe podwórko, budynek przy ulicy głównej, a w okolicach dzisiejszej ulicy Szkolnej zabudowania gospodarcze. Po drugiej stronie ulicy stała potężna stodoła. To była poniemiecka spuścizna, bo jak wiadomo, kolonia Nowa Iwiczna była w 1801 roku założona przez Niemców.

Wola Ludu miała sprzęt, ciągniki, maszyny rolnicze i obsługiwała okoliczne gospodarstwa. Pamiętam, jak w sobotę czy w niedzielę mama ładnie, czyściutko ubierała mnie i brata, a my

w te pędy biegliśmy do tych traktorów i maszyn. Co mogliśmy zrobić? Jedyne się usmarować. Ale byliśmy ciekawi techniki i tych wielkich maszyn.

Gdy wieś się rozwijała, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, w okolicach dzisiejszego Top Marketu zorganizowano mleczarnię, na rogu dzisiejszej Różanej było laboratorium, gdzie badano przywożone przez rolników mleko. Mój tata, jako członek spółdzielni, zajmował się przyjmowaniem i zagospodarowaniem mleka, bo każdy członek Woli Ludu miał swoją wyznaczoną rolę. W późniejszych latach jeszcze bardziej rozwinęto działalność. Zorganizowano pulpiarnię, skupowano truskawki, robotnicy obrywali szypułki i ładowali truskawki do beczek, które na miejscu zbijali bednarze. Po odpowiednim okresie leżakowania zakonserwowane truskawki jechały do zakładów przetwórczych w Płudach, gdzie wyrabiano z nich dżemy.

### ...założono Rolniczy Zespół Spółdzielczy o słusznej nazwie Wola Ludu

Z gospodarstw w Nowej Iwicznej buraki, ziemniaki i warzywa wędrowały do spółdzielni ogrodniczej w Piasecznie. Tubylców w Nowej Iwicznej było stosunkowo niewiele. Ludność stanowili repatrianci ze Wschodu, którzy otrzymywali od państwa mieszkania i ziemię.

Wśród tych ludzi był jeden gospodarz, repatriant, człowiek niespotykany, który bardzo wiele dla Nowej Iwicznej zrobił. Nazywał się Józef Rubinowski. Był pierwszym sołtysem w naszej wsi i przyczynił się do powstania szkoły. Otwarty na ludzi, społecznik z krwi i kości. Dziś już takich ludzi nie ma. Przynajmniej ja takich nie spotkałem.

#### Ulica Jarzębinowa

– Od urodzenia mieszkałem na wsi. Nie wstydzę się tego i nigdy się nie wstydzilem, że pochodzę ze wsi. W szkole mówili na mnie wieśniak i jakoś mi to specjalnie nie przeszkadzało. Dziadkowie mieli gospodarstwo i tu mieszkali moi rodzice. Tata zmarł w 1983 roku, a mama w tym, mając dziewięćdziesiąt jeden lat. Gospodarstwo podzielili między dzieci. Moją sąsiadką jest siostra, dalej mieszka jeden z braci, a jeszcze dalej drugi, bo było nas czworo rodzeństwa. Ale ulica nie nazywa się Klimków, tylko Jarzębinowa – śmieje się pan Jerzy. – Choć prawdę mówiąc, nazwa ulicy pochodzi od naszej rodzinnej jarzębiny, a wymyślił ją mój syn.



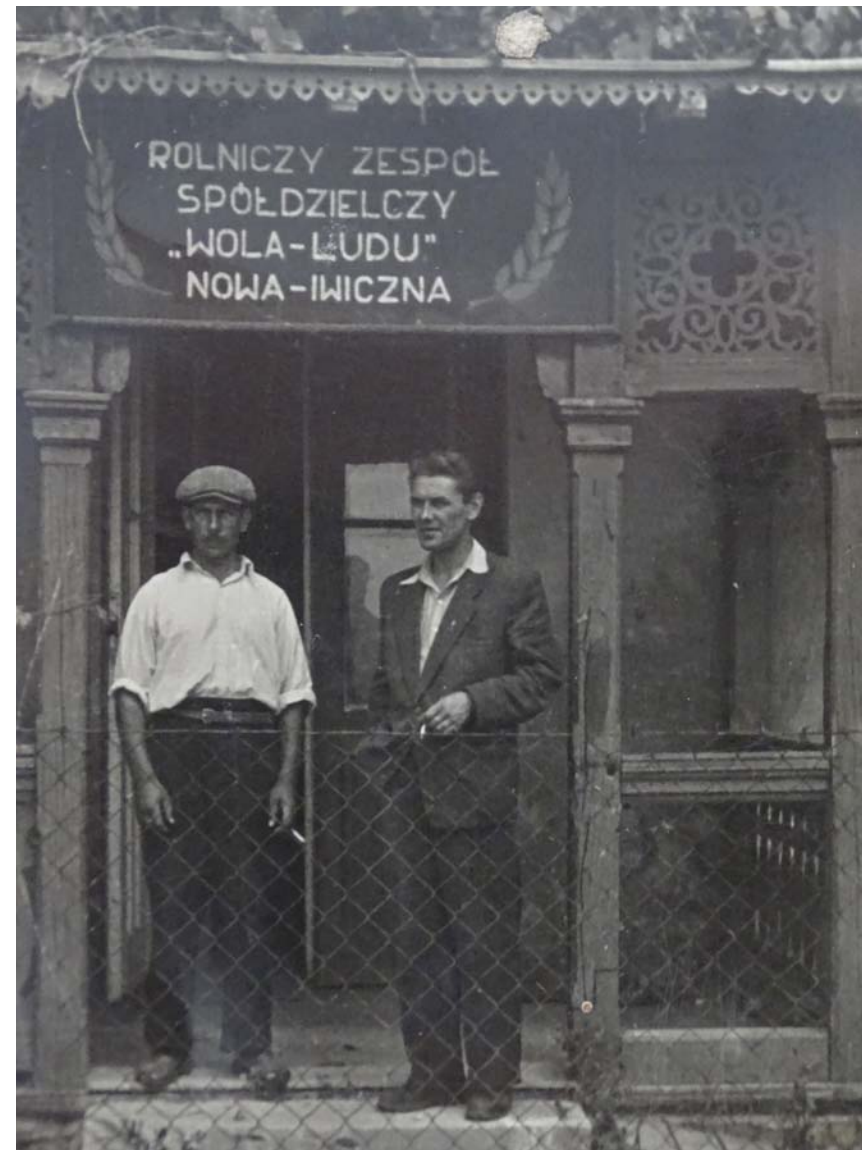
Historia była taka. Kiedy Adrian chodził do szkoły podstawowej, była akcja sadzenia drzewek. Adrian zastanawiał się, jakie tu drzewo posadzić, a ja powiedziałem: „Posadź takie, żeby było ładne, ciekawe. Na przykład jarzębinę”. Posadził i rosła. Czas płynął. Ulicy jeszcze nie było. Nasze gospodarstwo od gospodarstwa sąsiadki oddzielała miedza.

Mieliśmy własną, prywatną, szeroką na trzy metry drogę dojazdową, którą czy to koniem, czy ciągnikiem dojeżdżało się do pól. Sąsiadka miała swój wyjazd z gospodarstwa na Krasickiego i my mieliśmy swój. Pierwsze nowe budynki zaczęły powstawać na naszej ulicy dopiero w latach 1995 – 1996, gdy sąsiadka sprzedała część ziemi. Wtedy też do nowych posesji musiała powstać droga dojazdowa, szerokości sześciu metrów.

Na rogu, przy nowej drodze rosła sobie za naszym płotem pięknie jarzębina, a droga nie miała nazwy. No i któregoś dnia na gminnym zebraniu podniesiono kwestię nazwy dla nowo powstałej ulicy. Ponieważ przez kilka kadencji udzielałem się w radzie sołeckiej, a to jako przewodniczący, a to jako sekretarz – zresztą do dziś w radzie sołeckiej działałem – zaproponowałem, żeby mieszkańcy coś podpowiedzieli. Każdy myślał, myślał i okazało się, że łatwo nie jest. Niby co to za sztuka – wymyślić nazwę dla ulicy, ale okazało się, że to nie takie proste.

Jeden z sąsiadów zaproponował, żeby ulicę nazwać imieniem jego psa, ale nie przeszło. Żeby to jeszcze był pies rasowy, to może, ale to była wiejska powsinoga, typowy kundel, więc sąsiedzi obawiali się pośmiewiska.

U nas w domu też toczyła się dyskusja na temat nazwy. Były już w Nowej Iwicznej ulice Akacja, Czereśniowa, Stokrotki, więc mówiłem, że trzeba pójść w tym kierunku. Znaleźć nazwę jakiegoś oryginalnego krzewu, rośliny. Najpierw padło na piękne stare akacje, które tu rosły, ale ulica Akacja po drugiej stronie już była. Skoro jest Akacja, czemu nie ma być Jarzębinowej, jeśli jarzębina rośnie na rogu? Zgłosiłem nazwę na radzie sołeckiej i została klepnięta. Od tamtej pory mieszkamy przy ulicy Jarzębinowej.





Ja jestem stąd, a moja żona Anna z województwa lubelskiego, z Kraśnika Fabrycznego. Poznaliśmy się na jakimś spotkaniu, gdy Anna jako ogrodniczka miała zajęcia w Kombinacie Ogrodniczym w Mysiadle. Przypadliśmy sobie do gustu i będzie czterdzieści trzy lata, jak jesteśmy razem. Na czterdziestolecie dzieci zrobiły nam niespodziankę i zafundowały wycieczkę szlakiem księdza Mateusza, z serialu telewizyjnego „Ojciec Mateusz”.

### Dzielenie czasu

– To, że całe życie byłem działaczem społecznym, jest lekką przesadą. Czas trzeba było dzielić. Trzeba było pracować, żeby zarobić na utrzymanie rodziny, trzeba było pomagać rodzicom w gospodarstwie, a było przy czym robić, bo gospodarstwo było spore. Dopiero potem można się było udzielać społecznie, a nie będę udawał, sprawiało mi to przyjemność, a jak były efekty, to i satysfakcję. Działalem przecież nie dla siebie, tylko dla naszej społeczności.

Udzielałem się w radzie sołeckiej, ale też z moich rad korzystali radni z rady gminy. Jak mogłem coś podpowiedzieć, doradzić, to chętnie podpowiadałem. Takie moje spektakularne działania przypadły na lata dziewięćdziesiąte, kiedy zaczął się wspomniany boom mieszkaniowy. Nowa Iwiczna była modna. Mieszkanie tu było nobilitacją. Działki szły jak woda. Do Warszawy blisko, Puławska wtedy jeszcze była przejezdna, korków nie było, ludzie osiedlali się tu chętnie i trzeba było zadbać o infrastrukturę.

– Jestem przeciwnikiem zagęszczania budownictwa. Przeciwnikiem zamkniętych enklaw z szeregowcami. Mysiadło i Nowa Iwiczna są takich zamkniętych osiedli przykładem. Dom koło domu, beton, coraz mniej przestrzeni zielonej, a przecież tu były pola uprawne i zieleń dookoła. Jestem zwolennikiem bezwzględnego przestrzegania norm. Działka takiej i takiej wielkości, tyle powierzchni zabudowanej, tyle utwardzonej, taki procent zieleni. Inaczej w niedługim czasie nie będzie czym oddychać. Nie wszyscy chcą to zrozumieć, a najmniej przejmują się tym wielcy inwestorzy, budujący domy i mieszkania na sprzedaż.

Pamiętam, jak w ramach swojej społecznikowskiej działalności zostałem przewodniczącym społecznego komitetu budowy kanalizacji. Obowiązkiem moim i grupy, która została zawiązana, była



zbiórka na ten cel pieniędzy. Gmina pieniędzy zbierać nie mogła, a komitet społeczny mógł. Przekazywał pieniądze na konto gminy, a gmina finansowała potrzebne prace.

Dziś mało kto pamięta, że tak naprawdę wszystko zaczęło się od Nowej Iwicznej, gdy rozpoczęła się budowa szkoły. Szkoła musiała powstać, bo przybywało mieszkańców i przybywało dzieci, a w Mysiadle, Starej Iwicznej i w Nowej Woli szkół nie było.

Do Lesznowoli było za daleko, więc budowa szkoły w Nowej Iwicznej była strzałem w dziesiątkę. Decyzja zapadła i została z radością przyjęta przez mieszkańców, ale powstał problem, jak rozwiązać sprawę kanalizacji nowego obiektu. Jedni radni proponowali budowę własnego szamba, bo można je było zrobić szybko, ale nie bardzo potrafili wyobrazić sobie kosztów jego obsługi. Szkoła była planowana na ośmiuset uczniów, więc przy tylu użytkowników do obsługi szamba potrzebny byłby pewnie własny tabor samochodowy. Trudno też było sobie wyobrazić wielkość tego zbiornika. Na szczęście los nam sprzyjał.

W Mysiadle rozpoczęto budowę osiedla mieszkaniowego. Wykorzystaliśmy ten moment i wpięliśmy się w nitkę kanalizacyjną, którą ulicą Mleczarską ciągnęła firma budująca osiedle. Mieli zgodę na pociągnięcie kanału Mleczarską do oczyszczalni ścieków w Piasecznie. Od szkoły do Mleczarskiej jest około pół kilometra, więc byłoby grzechem nie skorzystać z okazji. Wszyscy skorzystali. Zorganizowaliśmy się błyskawicznie, założyliśmy społeczny komitet i każdy chętnie wpłacał pieniądze, bo wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, co to jest kanalizacja i co ta inwestycja może znaczyć dla każdego mieszkańca.

Jasne, że trafiały się pojedyncze przypadki, gdy starsi ludzie mówili: „Po co mi to? Do tej pory kanalizacji nie było i jakoś się żyło”. Ale oni mówili tak, gdy zakładaliśmy gaz i gdy prowadziliśmy wodociąg. Wiem, co mówię, bo w tych przedsięwzięciach uczestniczyłem. Zawsze się tacy znajdują, a dziś nikt nie potrafi sobie nawet wyobrazić życia bez gazu, wody w kranie i kanalizacji.

Pociągnęliśmy kanalizację do szkoły, potem do torów, za tory kolejowe i do Starej Iwicznej. Wszystkie osiedla na tym skorzystały, bo po ulicy Krasickiego przyszła kolej na boczne uliczki. Do nas kanalizacja została doprowadzona w 1996 roku.

Byliśmy jednymi z pierwszych na ulicy, bo tak kolejno postępowaliśmy prace, choć oczywiście znaleźli się tacy, którzy mówili: „Klimkowi już podłączyli kanalizację, bo był przewodniczącym komitetu. Bo działał?”

Ludzie już tacy są. Stoją z boku i wołają, żeby ktoś za nich wszystko zrobił, ale jak ktoś działa, to pewnie działa dla siebie, a nie dla innych. Przyzwyczaili się do tego.

W 2005 roku powstał w naszej gminie całkiem przyzwoity plan zagospodarowania przestrzennego, w którym określono wielkości działek i warunki zabudowy, ale ludzie jak to ludzie, chętnie wykorzystują luki prawne. Szczególnie inwestorzy, którzy budują szeregowce. Dla nich liczy się nie komfort mieszkańców, przyszłość, tylko rachunek finansowy. Szkoda, że podczas boomu w latach dziewięćdziesiątych nie pomyślano o terenach zielonych. Na terenach wiejskich pobudowano sypialnie. Nowa Iwiczna z czasem stała się taką właśnie sypialnią.

Człowiek, który tak jak ja tu się urodził, tu mieszkał i mieszka, wie, że ci, którzy traktują Nową Iwiczną jak sypialnię, kiedyś też będą chcieli odpocząć. Będą chcieli wyjść z dziećmi czy z psem na spacer. I gdzie wyjdą w blokowisku otoczonym płotem? Za płot, gdzie są tylko chodniki i ulice? A nie byłoby przyjemnie wyjść do parku czy na zielony skwer?

Jedynym terenem dla dzieciaków i mieszkańców jest plac zabaw koło szkoły. W Mysiadle jest piękny staw i człowiek czuje oddech przyrody. Tu tego bardzo brakuje.



*...Nowa Iwiczna z czasem stała się sypialnią*

### Moje miejsce

– Choć rodzice prowadzili gospodarstwo, nie poszedłem do szkoły rolniczej i z rolnictwem nie wiązałem swojej przyszłości. Nie interesowało mnie ani rolnictwo, ani ogrodnictwo. Interesowało mnie technika. Po podstawówce skończyłem technikum elektroniczne w Zalesiu Dolnym. Potem studiowałem automatykę na Politechnice Warszawskiej. Otrzymałem dyplom inżyniera automatyki przemysłowej i metrologii elektrycznej. Po studiach trochę popracowałem i podjąłem podyplomowe studia mechaniki precyzyjnej, a następnie w 1978 roku zacząłem pracować w Polkolorze w Piasecznie.

Zupełnie nie wiem, dlaczego wielu ludziom Polkolor kojarzy się z zakładem produkującym telewizory. Może upływający czas jest tego sprawcą, ale w tym najnowszym i najnowocześniejszym na tamte czasy zakładzie nie produkowano telewizorów. Polkolor był amerykańską montownią kolorowych kineskopów do telewizorów. W zakładzie była też huta, w której produkowano szklane elementy.



To była chyba jedyna na świecie fabryka, która wszystkie komponenty potrzebne do produkcji robiła u siebie.

W pewnym momencie otworzono nawet fabryczny sklep, w którym sprzedawano telewizory, ale naszym wsadem w gotowy produkt był tylko kineskop. Być może stąd to skojarzenie. Telewizory kolorowe szły jak woda i były sprzedawane na zapisy.

Potem, w 1991 roku, firmę kupił francuski Thomson, odchudził z bazy socjalnej, ośrodków wczasowych i zakładów gospodarczych i zaczął się nowy etap życia fabryki. Po latach przyszła prywatyzacja i w 2005 roku Thomson sprzedał firmę indyjskiej spółce Videocon. Mówię o tym tylko dla porządku, bo zmieniali się właściciele, a ja wprawdzie zmieniałem stanowiska pracy, ale przez te wszystkie lata do dziś moje miejsce pracy zostało to samo. Teraz moim szefem jest Hindus. Dzięki firmie zwiedziłem prawie cały świat. Byłem wszędzie tam, gdzie był Thomson i gdzie cokolwiek produkowano dla Thomsona.

Stąd może moje, a właściwie nasze z żoną, zamiłowanie do podróży. Jesienią i zimą lubimy jeździć w góry. Popatrzeć, połączyć po górach i pojeździć na nartach. Lubimy coraz bardziej swój ogród, bo teraz w nim rojno od wnuczków. Jeśli dziś jest piątek, to najmłodszy wnuczek ma już tydzień. Kolejne mają trzy, pięć, osiem i jedenaście lat. Trzy dziewczynki i dwóch chłopców. Trójkę ma syn, a dwójkę córka.

Mamy szczęście, bo mamy duży teren. Wnuczki mają gdzie się bawić, jest gdzie zrobić grilla i na co popatrzeć. Jest ogródek, warzywnik i warzywa bez chemii. Ale my nie traktujemy tego miejsca jak sypialni. Tu wartko toczy się życie. Cudownie jest usiąść latem na tarasie lub zimą przed dużym tarasowym oknem i popatrzeć na to, co za nim. A za nim kawałek tego, co było dawniej. Zieleń, drzewa, kwiaty i bawiące się dzieci. Tego w szeregowcach się nie zobaczy. Tu jest czym oddychać, mamy kontakt z przyrodą, choć mieszkamy na rogu ulic.

Żeby tylko było więcej czasu na to oddychanie, bo doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, a ja nie mam kłopotów, by je zagospodarować. Spać chodzę przed północą. ■

Czysta  
radość



– Moim ulubionym obrazem jest Iwica, która dla mnie jest prezentacją kobiecej siły. Nigdy bym tego obrazu nie sprzedała i nie oddała nikomu, bo namalowałam go dla siebie. On w pewnym sensie symbolizuje mnie. Ma w sobie siłę, która w okresie, gdy go malowałam, była mi potrzebna do rozwoju i pokonywania przeszkód. Jestem bowiem zodiakalną Iwicą – powiedziała Urszula Bąkowska, której prace malarskie oglądaliśmy na wernisażu w „Galerii Pasaż” w filii GOK Lesznowola w Mysiadle.



– Jeszcze trzy i pół roku temu, choć byłam blisko sztuk plastycznych, nie myślałam o malarstwie – powiedziała nam autorka prac. Z wykształcenia pani socjolog po SGGW. Zawodowo związana z marketingiem internetowym i kreacją graficzną.

– Po urodzeniu córki jakoś tak wewnętrznie poczułam, że muszę się wyrazić artystycznie. Motywacja była tak silna, że zapisałam się na zajęcia do Służewieckiego Domu Kultury. Zaczęłam malować i poczułam wielką radość z tego, co robię. Po kilku zajęciach zaczęłam szukać możliwości chodzenia na zajęcia gdzieś bliżej domu i tak trafiłam do GOK Lesznowola pod skrzydła Jana Drawicza.

Od pierwszych zajęć z panem Drawiczem wiedziałam, że wchodzę na zupełnie inny poziom wtajemniczenia. Przez godzinę nauczyłam się więcej, niż tam przez cały rok.

„Od dziecka lubiłam wyrażać siebie za pomocą różnych technik plastycznych, nigdy natomiast nie odważyłam się malować farbami olejnymi, żyjąc w przekonaniu, że jest to zajęcie tylko dla wybranych...

Dziś malowanie obrazów to dla mnie czysta radość i źródło głębokiego relaksu. Ciekawi mnie każdy kolejny, nienamalowany jeszcze obraz. Szczególnie lubię malować pejzaże, chmury, oddawać nastroje miejsc...” – wyznała pani Urszula w folderze wystawy.

– Moje malarstwo traktuję bardzo poważnie. Już ponad dwa lata chodzę na zajęcia do pana Drawicza i wiem, że już zawsze będę malować, że to jest ta forma artystycznego



wyrazu, której szukałam całe życie. Robiłam różne rzeczy. I ceramikę artystyczną, i biżuterię, ale żadnego z tych zajęć nie traktowałam tak poważnie, jak malarstwa. Nie wiem, czy nie będzie to przyszłość mojego zawodowego życia.

Prace pani Urszuli można do połowy maja oglądać w filii GOK w Mysiadle. ■



„Wszystko ma swój początek i koniec, w lotnictwie zarówno tym dużym, jak i małym jest to start i lądowanie – operacje najtrudniejsze” napisał w swojej książce ABC lotniczych modeli zdalnie sterowanych Marek Hlebowicz, mieszkaniec Stefanowa. Dodał jeszcze, że większość „katastrof”, jakich był świadkiem na modelarskich lotniskach, zdarzyła się właśnie podczas lądowania i startu. Postanowiliśmy poznać autora książki, pasjonata modelarstwa, człowieka, który o lataniu modelami zdalnie sterowanymi wie wszystko.



Żeby była jasność: pan Marek Hlebowicz nie mieszkał koło lotniska, gdzie mógł obserwować i podziwiać samoloty. W rodzinie też nikt się lotnictwem nie pasjonował, a modelarstwem tym bardziej. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy miał jakieś siedem lat i tata w prezencie kupił mu w do sklepienia plastikowy model samolotu Tu-134.

#### Początki modelarskiej przygody

– Od tego pierwszego plastikowego modelu zaczęła się moja modelarska przygoda, która trwa do dziś. Drugim etapem były zajęcia modelarskie w mojej rodzinnej Łęczycy, skąd pochodzę. Nie trwało to długo, bo modelarnia została zlikwidowana, ale pasja została.

Pierwszy model samolotu skonstruowałem w latach osiemdziesiątych. Latam trudnych dla modelarzy, bo ciężko było kupić materiały, więc ograniczałem się do konstruowania prostych modeli na uwięzi.

Po liceum miałem pomysł, żeby pójść do szkoły lotniczej w Dęblinie, ale w tamtych czasach, żeby latać, trzeba było mieć wzrok sokoli, a ja sokołem nie byłem. Za dużo czytałem. O Dęblinie jednak myślałem, bo Dęblin to było latanie, ale latanie przez służbę wojskową. Nawet szkolenia aeroklubowe wymagały, żeby być zdolnym w przyszłości służyć państwu. Jako że latanie z uwagi na mój wzrok odpadło, została mi konstrukcja i budowa samolotów, więc dostałem się na wydział mechaniki

lotnictwa Politechniki Warszawskiej, ze specjalnością płatowce.

Po zakończeniu studiów sytuacja wyglądała w ten sposób, że mieliśmy przełom ustrojowy i po śmierci ojca musiałem zająć się utrzymaniem rodziny. Wtedy na rynku było zapotrzebowanie na ludzi do poligrafii, którzy znali się na komputerach. I ja, tak jak większość kolegów z mojego rocznika, zamiast do lotnictwa trafiłem do poligrafii.

Ponieważ na studiach robiłem dyplom z podwozi lotniczych, koniecznie chcieli mnie wziąć do LOT-u do nadzoru technicznego przy boeingach, które wtedy wchodziły do eksploatacji. W poligrafii zarabiałem wówczas na stare pieniądze milion trzysta tysięcy miesięcznie. W LOT



fot. z archiwum prywatnego Marka Hlebowicza

## DO GRANICY HORYZONTU

zaoferowano mi sześćset tysięcy plus, jak to mówili, lewe pół etatu, na którym miałem „dociągnąć” do dziewięciuset tysięcy. Może bym na to poszedł, ale zadałem pytanie: „Ile zarabia facet, który biega po hali z łyżką do zmiany opon”, bo w samolotach zmienia się koła. „Trzy i pół miliona – usłyszałem. – A jeśli samolot się rozbije ze względu na źle założoną oponę, to kto pójdzie siedzieć? On czy ja? – Pan. – Dziękuję, nie skorzystam”. Takie były czasy.

Dlatego zostałem w poligrafii, ale z pasją do lotnictwa. Miałem własną firmę, która się rozwijała, ale cały czas było we mnie modelarstwo. Kiedy mieszkaliśmy w hotelach asystenckich, w wynajętych mieszkaniach, to były modele plastikowe. Gdy mogłem zbudować dom, to jedyny warunek był taki, że będzie piwnica, a tam moja modelarnia. Dziewiętnaście, dwadzieścia lat temu wróciłem do modeli zdalnie sterowanych. Prowadząc firmę poligraficzną, zdecydowałem się na wydawanie miesięcznika modelarskiego „RC Przegląd Modelarski”, poświęconego tylko i wyłącznie modelom zdalnie sterowanym. Wychodził jedenaście lat.

Opublikowałem też książkę *ABC lotniczych modeli zdalnie sterowanych* i tłumaczyłem książki modelarskie. Książkę napisałem na podstawie rozmów, a właściwie odpowiedzi na pytania, które podczas różnego rodzaju pokazów modeli latających zadawali mi początkujący konstruktorzy, początkujący modelarze. Najpierw publikowałem w miesięczniku cykl odpowiedzi na zadawane najczęściej pytania, a potem zebrałem to w książkę. Było to naprawdę abecadło modeli zdalnie sterowanych.

W ten sposób pasję zacząłem powoli łączyć z pracą. Większość czasu, jeżeli mam, poświęcam mode-

lom. Mamy z kolegami lotnisko w Pęcherach, do którego można się zapisać, i tam się spotykamy i latamy.

Zrobiłem licencję na drony, ale nie na wielowirnikowe, bo mnie nie bawi filmowanie z powietrza, natomiast zrobiłem licencję na stałopłaty, czyli samoloty. Mam uprawnienia nawet do komercyjnego latania modelami do dwudziestu pięciu kilogramów. Licencja się przydaje, ale czasami może przeszkadzać. Robiąc ją, stałem się świadomy prawa. Jeśli je gdzieś złamię, nie mogę się tłumaczyć, że nie wiedziałem. Każdemu, kto chce zrobić licencję, zawsze powtarzam: „Potrzebna ci? Jeśli nie będziesz latał komercyjnie, to jej nie rób.





Bo jak przypadkiem złamiesz jakiś przepis, to się wytłumaczysz, że nie wiedziałeś, a jak masz licencję, to jesteś świadom czynu”.

Zawsze się znajdują zyczliwi, którzy doniosą, że łamiesz przepisy, bo przeleciałeś nad posesją kogoś, kto sobie tego nie życzył. Mam kolegę, który latał w Żywcu teoretycznie zgodnie z przepisami sto pięćdziesiąt metrów od budynków i zabudowań. Jeden z lokalnych bonzów stwierdził, że lata nad jego zakładem pogrzebowym, i ma teraz sprawę w prokuraturze.

Modele zdalnie sterowane mogą lecieć tak daleko, jak daleko się je widzi. Do granicy horyzontu. Do granicy horyzontu jest też zasięg nadajników. Oczywiście są modele, które latają bez konieczności ich widzenia, ale na takie trzeba mieć odpowiednią licencję i loty zgłaszać do LOT-u. Praktycznie takie latanie jest w Polsce zakazane.

#### Woda i powietrze

– Gdy zacząłem wydawać miesięcznik poświęcony modelarstwu, przyszedł do redakcji człowiek z siwą kitką na głowie i powiedział: „Widzę, że wydajecie gazetę. Chciałbym zrobić zawody wodnosamolotów, czyli takich, który startują z wody i na wodzie lądują”. To było jede-

naście lat temu. Bardzo się w to zaangażowałem i wspólnie z kolegami po kilkudziesięciu latach odtworzyliśmy klasę modeli wodnosamolotów. Stworzyliśmy też wyścigi na tych modelach. Bardzo dynamiczną i bardzo widowiskową imprezę.

Wygląda to tak, że lata jednocześnie sześć modeli, ścigając się wokół pylonów. Latają bardzo szybko i bardzo nisko. Żeby zaliczyć pylon, trzeba zejść poniżej jego szczytówki, czyli poniżej dziewięciu metrów, a średnia prędkość według GPS-a wynosi 160 km na godzinę.

Modele są w dwóch kategoriach: powyżej 2,5 kg i do 2,5 kg. To są latające pociski nad akwenami wodnymi. Model musi wystartować i wylądować na wodzie. Impreza jest widowiskowa, bo towarzyszy jej wiele nieprzewidzianych zdarzeń, śmiesznych sytuacji i zderzeń. Swego czasu

podczas jednej z imprez współpracowaliśmy z harcerzami. Stwierdzili, że nie będziemy stawiać pylonów, wokół których zawracamy, bo oni postawią dwa jachty, dwie omegi, i będziemy latać wokół masztów. Jeden kolega nie wyrobił się na zakręcie i uderzył w maszt. Wgiął maszt o półtora centymetra. Drugi z kolei ściął wantę, trzymającą maszt stalową linę, i poleciał dalej. To są takie prędkości i taka energia.

Woda to bardzo twardy przeciwnik. Rozbicie modelu na ziemi daje szansę na jego odbudowę. Można coś podkleić, skleić, wymienić. Przy uderzeniu o wodę nie ma nic. Start i lądowanie na wodzie są szalenie trudne, bo woda nie wybacza błędów. Wchylenie pływaka przy zetknięciu z wodą to przewrócenie się modelu i koniec zabawy. Każdy błąd przy zetknięciu z wodą to kapotaż.



...woda to bardzo twardy przeciwnik

Samolot przewraca się przez nos na plecy i nie ma co wieźć do domu. Samolot lądujący na koła robi na ziemi kangura, odbije się od trawy i wylądzuje.

Ta pasja, której jestem wierny, ma jeszcze inne zalety. Są nimi na przykład możliwości spotykania się z innymi modelarzami i chęć wciągania ludzi w modelarstwo. Ona spowodowała, że stworzyłem własną klasę narodową. Do tej pory było tak, że na modelach zdalnie sterowanych w zawodach aeroklubowych mogli starować tylko członkowie aeroklubu z licencjami sportowymi. Nie każdy chciał się zrzeszać. Polacy mają do tego awersję. Wymyśliłem klasę takich półmakiet (F4-HP), w której ocena zgodności wyglądu z pierwotnym wzorem jest mocno ograniczona, natomiast stawiamy bardzo na poprawność latania. Zawody odbywają się już szósty rok. Organizujemy je w aeroklubie plockim lub włocławskim.

Są dwie lub trzy edycje w ciągu roku. Przewinęło się już kilkudziesięciu modelarzy. Z tych kilkudziesięciu modelarzy, latających za stołami, namówionych do startu w zawodach, przynajmniej pięciu startuje teraz w klasach międzynarodowych. To jest mój pomysł na propagowanie modelarstwa.

Wiek modelarzy zaczyna się od dwudziestu pięciu w górę, bo próby wciągnięcia w modelarstwo dzisiejszej młodzieży niestety spaliły na panewce. Jeżeli młodzież się pojawia na zawodach, są to wnukowie lub synowie modelarzy. Odciągnięcie młodzieży od internetu jest bardzo trudne. Bardzo mnie to boli i dlatego powstały te zawody.

Kiedyś modelarni było w Polsce blisko dwadzieścia tysięcy. W tej chwili jest około ośmiuset. Po stanie wojennym, kiedy Rada Ocalenia Narodowego przestała finansować modelarnie, w ciągu roku zniknęło ich trzy czwarte. Między innymi modelarnia w Łęczycy, w której zaczynałem swoją przygodę.

Jeśli chodzi o koszty tej pasji, to górna granica jest nieokreślona. Najdroższy model, który znam, to model samolotu Jak-140, który kosztował w granicach półtora miliona euro. Jest nie do odróżnienia od oryginału. Model ten sfinansował de facto rząd Rosji. Natomiast żeby zacząć, wystarczy 450-500 złotych. To pozwala na zakup modelu szkolnego motoszybowca z aparaturą podstawową. W tej cenie dostajemy model do nauki latania, nadajnik pełnozasięgowy, ładowarkę i pakiet zasilający.

Nadajnik jest prosty, ale wystarczy na dwa, trzy kolejne modele, czyli można kupić następny model za 200 złotych. Nikt z nas nie wyposaża w pełni wszystkich modeli, bo to jest zbyt drogie, natomiast nowoczesne nadajniki obsługują od kilkunastu do kilkudziesięciu modeli.

Jeżeli ktoś chce zacząć poważnie myśleć o modelarstwie, to startowe koszty są w granicach dwóch tysięcy złotych.

Modelarzy lotniczych w Polsce jest według mnie około dwudziestu tysięcy. Ludzi, którzy latają mniej lub bardziej regularnie. Na zlotach modelarzy potrafi się pojawić dwięście modeli samolotów. Większość pasjonatów lata modelami gotowymi, ale odradza się budowanie od podstaw dużych, skomplikowanych makiet samolotów.

#### Wolę budować

– Przyznam, że osobiście wolę budować modele samolotów niż latać. Ponieważ jestem inżynierem, satysfakcję sprawia mi projektowanie w 3D i budowanie modelu. Latanie to adrenalina. Wielu ludzi pyta mnie często, czy wolę się bawić z modelami samochodów zdalnie sterowanych, czy samolotów. Odpowiadam tak: jeśli masz się z kim ścigać,





*...start jest zawsze czynnością dowolną, lądowanie obowiązkową*

to wybierz samochód, bo do wyścigu potrzeba przynajmniej dwóch. Jazda samemu szybko się nudzi. Człowiek, jako zwierzę drapieżne, musi mieć konkurencję. Musi się ścigać.

Wyjście na pole z samolotem, nawet samemu, to dawka adrenaliny od początku do końca. Powietrze jest takim przeciwnikiem, że tu nie ma czasu na zastanawianie się. Poziom adrenaliny, gdy lata się modelem szybkim, akrobacyjnym na przykład myśliwcem z dużym obciążeniem płata, jest niesamowity. Nawet na chwilę nie można pozwolić sobie na utratę koncentracji.

Model mojego meserszmitta latał z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Pięćset metrów w jedną i pięćset metrów w drugą stronę. Jeśli przy takiej prędkości wykona się manewr bez przemyślenia, to jest po modelu. Wystarczy za ciasny zakręt i już katastrofa.

My, modelarze, mamy takie powiedzenie. Są dwie kategorie modeli latających. Te, które były rozbite, i te, które rozbite będą. Innych nie ma. Najczęściej błąd popełnia człowiek.

Proszę zwrócić uwagę, że pilot pilotujący samolot siedzi w kabynie, widzi wszystkie przyrządy

sterujące, czuje maszynę. Pilotując model, polegamy tylko na własnym wzroku.

Nie powiedziałem jeszcze, co to jest makietą samolotu, a co to jest model samolotu, choć używamy tych nazw. Otóż makietą to latająca, wierna replika istniejącego w rzeczywistości samolotu. Model to zabawka, samolot służący na przykład do akrobacji, do latania, ale wymyślony. Specjalnie skonstruowany. Jest wiele klas różnych modeli, od silnikowych do szybowców. Jednak – bez względu na to, czy to model, czy makietą – adrenalina jest zawsze.

Zawsze trzeba pamiętać o jednej zasadzie: start jest zawsze czynnością dowolną, lądowanie obowiązkową. Najczęstszy scenariusz rozbicia modelu przy starcie, szczególnie starcie z ziemi, jest taki: model rozpędza się powoli, zwłaszcza na lotniskach trawiastych, w pewnym momencie zaczyna podrywać ogon (w przypadku modeli z kołem ogonowym) lub żwawiej reagować na ster wysokości (model z kołem przednim). Niedoświadczony modelarz, nie potrafiąc ocenić prędkości, zaciąga ster, wyrwijając model w powietrze. Model zaczyna się przechylać na jedno skrzydło, najczęściej prawe, i wtedy modelarz chce wyrównać lot, daje kontrę lotką w lewo i katastrofa gotowa. Skrzydło zaczepia o ziemię i po zabawie.

Jasne, że tego wszystkiego można się z czasem nauczyć, choć widziałem nieudane starty, które zdarzały się nawet doświadczonym modelarzom.

Od projektu do gotowego modelu przeciętnie mija rok. Ale żeby wykonać makietę klasy F4C, czyli wierną, zdalnie sterowaną makietę samolotu, potrzeba trzech, czterech lat. Na swoim koncie mam cztery

takie makiety zrobione od zera i około trzydziestu zmontowanych z gotowych zestawów. Najbardziej dumny będę z dopiero powstającej makiety Fokkera D-VIII, jednomiejscowego samolotu myśliwskiego, skonstruowanego na ogłoszony w końcu 1917 roku drugi konkurs samolotów myśliwskich dla lotnictwa Niemiec.

Produkcję tego samolotu kontynuowano do zakończenia I wojny światowej i zbudowano w tym czasie około 400 egzemplarzy. Do zakończenia wojny myśliwce te były wyłącznie używane w lotnictwie Niemiec, po wojnie trafiły do lotnictwa Holandii, Japonii, USA i Włoch. Dziesięć egzemplarzy tych samolotów trafiło także do Polski. Porucznik Stefan Stec namalował na samolocie pierwszą szachownicę i to zostało przyjęte jako standardowe oznaczenie polskich samolotów wojskowych.

Mam za sobą budowę makiety samolotu turystycznego RWD-5 bis, na którym Stanisław Skarżyński w 1933 roku dokonał liczącego 3582 km przelotu przez Atlantyk, bijąc przy okazji rekord świata dla samolotów o ciężarze do 450 kg.

Mam też zawieszoną pracę nad samolotem RWD-9, który zwyciężył Challenge 1934 i w tym samym roku był wystawiony na Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu.

Moim ulubionym modelem jest jednak niemiecki meserszmit. Jest to model z silnikiem benzynowym, który waży osiem i pół kilograma. Trudny w pilotażu, ale dający wiele satysfakcji z latania.

Jestem pewny, że jak ktoś tej zabawy spróbuje, to będzie chciał się zawsze w nią bawić. Ja polecam i służę radą. ■



*...najczęściej błąd popełnia człowiek*





W kwietniową sobotę, zgodnie z przyjętą już tradycją, motocykliści na swoich wypieszczonych maszynach podjechali pod kościół parafialny Zesłania Ducha Świętego w Starej Iwicznej. Stawili się na mszę, która od 2007 roku jest odprawiana na otwarcie sezonu motocyklowego. Było na co popatrzeć, bo każda maszyna to inny egzemplarz.

Świetnie wyglądało to zgromadzenie motocyklistów, świątynia obstawiona stalowymi rumakami, migająca niebieskimi sygnałami świetlnymi kolumna policji drogowej, orkiestra reprezentacyjna policji i polowy ołtarz wśród kwitnących w tym roku krzewów.

Celebrując mszę ksiądz kanonik Dariusz Gołowski, proboszcz parafii, życzył motocyklistom bezpiecznej, szerokiej drogi i w tej intencji odprawiał mszę.

Po mszy tradycyjnie odbyło się święcenie motocykli, a potem spotkanie przy grillu, bo wielu z motocyklistów przyjechało z różnych miejsc Polski, więc mieli okazję spotkać się i przy kiełbaskach z grilla przygotowanych przez Caritas porozmawiać o swoich maszynach i podróżach.

Nad wszystkim czuwał jak zwykle, przedstawiony w „mojej Lesznówoli” (mL nr 11 – „Był taki sezon...”), pan Tomasz Woźniakowski. Warto przypomnieć fragment tego tekstu z jego wspomnieniem o tym, jak to się zaczęło. Bo zaczęło się od mszy w intencji motocyklistów, którzy z tego świata odeszli. W tej sprawie Tomasz Woźniakowski zapukał w 1998 roku do drzwi parafialnej kancelarii.

„...Za radą znajomego księdza nawiązaliśmy kontakt z parafią pw. Ducha Świętego w Starej Iwicznej, gdzie proboszczem miał być ksiądz motocyklista Stanisław Hałabuda (to był rok 1999 – przyp. red.)

Zapukałem do kancelarii i przyjął mnie nie ksiądz Hałabuda tylko ks. Andrzej Kwaśnik, nowy proboszcz parafii. Powiedział, że motocyklistą nie jest, ale porozmawiać może. Wysłuchał idei, zapytał o szczegóły i powiedział: „Proszę bardzo, jak chcecie, to róbcie, tylko porządnie”. Potem podał kilka pomysłów: „Trzeba na pierwszą mszę przygotować zaproszenia, porozmawiać z Caritasem, działającym na terenie parafii, żeby pomogli w przygotowaniu jakiegoś poczęstunku, bo motocykliści przyjadą z całej Polski. Zwrócimy się też o pomoc do policji, bo ja jestem akurat kapelanem policji i na pewno pomogą. Trzeba też zaprosić orkiestrę reprezentacyjną, żeby było uroczyście”.

Prawie zorganizował nam oprawę mszy i czas po niej. Zgodziliśmy się bezdyskusyjnie, szczególnie co do tego, że msza ma być mszą a nie spektaklem.

W pierwszą sobotę listopada 1998 roku, a może 1999 roku, w parafii

w Starej Iwicznej odprawiona została pierwsza msza za zmarłych motocyklistów”.

Po mszy za zmarłych kolegów motocykliści doszli do wniosku, że dobrze byłoby zorganizować też mszę dla motocyklistów na otwarcie sezonu i od 2007 roku taka msza jest celebrowana.

Historię mszy przypominamy także dlatego, aby wspomnieć księdza Andrzeja Kwaśnika, kapelana: stołecznego Oddziału Prewencji Policji, warszawskiego stowarzyszenia „Rodzina Policyjna 1939”, stowarzyszenia „Rodzina Policyjna”, Komendy Powiatowej Policji w Piasecznie.

Zginął 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie samolotu Tu-154M pod Smoleńskiem w drodze na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej, na które leciał jako kapelan Federacji Rodzin Katyńskich. Został pochowany w Świątyni Opatrzności Bożej, w Panteonie Wielkich Polaków. 10 listopada 2010 roku odsłonięto poświęconą mu tablicę pamiątkową w kościele w Starej Iwicznej, a na cmentarzu parafialnym, na grobie rodziców księdza, znajduje się również tablica jego pamięci. ■







# Na każdy sezon

Choć kwiecień to nie jest czas grzybobrania, dziś w naszym menu o grzybach, którymi możemy cieszyć się przez cały rok.

Wprawdzie ich zdobyciu brakuje elementu emocji, który odczuwamy wędrując po lasach, bo prawie zawsze można je kupić w sklepie, ale one również mają swoich zagorzałych fanów.

Pieczarki i boczniaki dają wiele możliwości kulinarnych.

Można je smażyć, grillować, nadziewać, robić z nich zupy i dodawać do mięs.

W przeciwieństwie do grzybów leśnych, rzadko bywają robaczywe. I choć zdarzają się głosy, że pieczarka to nie jest prawdziwy grzyb, my jednak upieramy się, że ona również ma swoje miejsce na kulinarnej półce.

Jasny kapelusz i blaszki – może nie brzmi to bezpiecznie, ale nie tym razem.

Po obydwu gatunki grzybów można śmiało sięgać i cieszyć się ich walorami smakowymi. Pieczarki to dziś jedne z najbardziej popularnych grzybów na świecie, choć w XVI wieku biała odmiana uchodziła za rarytas i trafiała tylko na stoły najzamożniejszych. Boczniaki uważane są za grzyby o właściwościach leczniczych, bo zawarte w nich związki obniżają poziom cukru i cholesterolu.

Dziś dla wszystkich otwartych na grzyby, które rosną poza sezonem grzybobrania kilka przepisów.

## SAŁATKA Z BOCZNIAKAMI I RUKOŁĄ

### SKŁADNIKI

250 g boczniaków, paczka rukoli, ser parmezan, orzeszki piniowe, bagietka, kilka pomidorków cherry, bagietka, sól, pieprz

**Sos:** 4 łyżki oliwy extra virgin, 3 łyżki soku z cytryny, łyżka miodu, 1/2 łyżki musztardy Dijon

Rukolę opłucz i rozłóż na talerzu. Pomidorki przekrój na połówki i ułóż na rukoli. Grzyby pokrój w paski i usmaż, doprawiając solą i pieprzem. Rozłóż na wierzch sałatki. Składniki sosu wymieszaj i polej nim sałatkę. Zetrzyj parmezan na większe kawałki i porozkładaj na całości. Orzeszki upraż na patelni i posyp sałatkę. Bagietkę pokrój w kromki i podsmaż na patelni grillowej z odrobiną oliwy i czosnku lub na oliwce z suszonych pomidorów.





## SALATKA Z PIECZARKAMI, FETA I ŚWIEŻYM SZPINAKIEM

### SKŁADNIKI

150 g świeżych liści szpinaku, 150 g pieczarek, ser feta, mieszanka pestek (słonecznik, dynia, orzeszki piniowe), 3 łyżki octu balsamicznego

**Sos:** 4 łyżki oliwy extra virgin, 3 łyżki soku z cytryny, łyżka miodu, 1/2 łyżki musztardy Dijon

Szpinak umyj i rozłóż na talerzu. Pieczarki obierz i pokrój w plasterki. Na patelnię wlej odrobinę oleju i podsmaż pieczarki przez 5 minut. Dopraw solą i pieprzem. W ostatniej minucie wlej na patelnię ocet balsamiczny i poczekaj chwilę, żeby odparował. Przełóż pieczarki na szpinak. Na wierzch pokrusz ser feta. Wymieszaj wszystkie składniki sosu i polej nim całość. Podpraż na patelni pestki razem z orzeszkami i posyp nimi salatkę.



## ZUPA Z PIECZARKAMI I WARZYWAMI

### SKŁADNIKI

litr bulionu warzywnego, 150 g ryżu długo ziarnistego, 150 g pieczarek, 1 marchewka, 1 por, gałka muszkatołowa, sól, pieprz, sok z cytryny

Zagotuj bulion i wsyp do niego ryż. Gotuj pod przykryciem przez około 10 minut. Marchewkę obierz i zetrzyj na tarce o dużych oczkach. Pieczarki i pora umyj i pokrój w cienkie plasterki. Pieczarki skrop sokiem z cytryny, żeby nie ściemniały. Do gotującej się zupy wrzuć marchewkę, pora i pieczarki. Gotuj przez 10 minut. Dopraw solą, pieprzem i gałką muszkatołową. Na wierzch połóż kilka plasterków pieczarek.

## MAKARON TAGIATELLE Z BOCZNIAKAMI I SUSZONYMI POMIDORAMI

### SKŁADNIKI

250 g makaronu tagiatelle, 250 g boczniaków, pół słoiczka suszonych pomidorów, 3 łyżki kaparów, natka pietruszki, starty parmezan, sól, pieprz, 4 łyżki oliwy z suszonych pomidorów

Makaron ugotuj al dente. Boczniaki pokrój w paski. Na patelni rozgrzej odrobinę oliwy i usmaż pokrojone w paski boczniaki. Ugotowany makaron odcedź i połącz z usmażonymi grzybami. Dodaj pokrojone w paski suszone pomidory i dla zaostrenia smaku kaparki. Całość wymieszaj z oliwką z suszonych pomidorów. Dopraw solą i pieprzem. Wyłóż na talerz. Posyp startym parmezanem i odrobiną natki pietruszki.



## NUGGETSY Z BOCZNIAKÓW

### SKŁADNIKI

kilka dużych boczniaków, 4 łyżki pszennej mąki, 1/2 łyżki wędzonej papryki, 1 łyżeczka sproszkowanego chilli, 1 łyżka słodkiej papryki, 3 łyżki wody, 1 łyżeczka sproszkowanego czosnku, 1 łyżeczka pieprzu, 1 łyżeczka soku sojowego, olej do smażenia  
**Panierka:** bułka tarta/płatki kukurydziane

Umyj boczniaki, osusz i podziel je na większe części. Do miski wsyp wszystkie przyprawy i dolej do nich wodę. Wymieszaj składniki. Powstanie z nich ciasto, w którym będziemy obtaczać grzyby. Jeśli ciasto jest zbyt gęste, dolej do niego wody. Na talerzyku wysyp bułkę tartą i wymieszaj z pokruszonymi płatkami kukurydzianymi. Boczniaki obtocz w cieście, a następnie w panierce. Smaż na gorącym oleju na złoty kolor. Podawaj posolone z dipem czosnkowym.





*„Jakże nudne i monotonne byłyby odgłosy lasu, gdyby prawo do śpiewania miało tylko dziesięć najzdolniejszych ptaków”.*

*Arnold Bennett*